

STEVE SHADEHEAD

ZEGAR

Tom pierwszy
Początek końca



ZEGAR



Steve Shadehead

ZEGAR

Tom pierwszy

Początek końca

Copyright © Steve Shadehead, 2025

Redakcja: Autor

Korekta: Autor

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Autor

Opracowanie graficzne okładki: Autor

Ilustracje zawarte w książce: Proces powstawania warstwy wizualnej łączył nowoczesne techniki generatywne z tradycyjnym warsztatem graficznym. Wygenerowane zarysy i szkice stanowiły jedynie fundament, na którym autor poprzez drobiazgową obróbkę i autorski retusz zbudował finalne obrazy oddające klimat tej opowieści.

Wydanie: I

Miejsce i data wydania: Gdynia, 2026

ISBN 978-83-979457-0-8

Książka jest objęta ochroną prawa autorskiego. Wszelkie udostępnianie osobom trzecim, upowszechnianie i upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

Wstęp.....	6
Prolog.....	8
Poniedziałek.....	11
Złodziej snów.....	12
Cień, głośniejszy od krzyku.....	27
Echo wśród Arkanów.....	46
Labirynt pamięci.....	80
Czas ruszył.....	99
Wtorek.....	124
Atrament przepowiedni.....	125
Kot i mysz.....	151
Fałszywe nazwisko.....	182
Odcisk.....	200
Chłodna obietnica.....	215
Środa.....	237
Pod cienką warstwą.....	238
Lux Aeterna Silentium.....	260
Bilet w jedną stronę.....	278
Jak lustrzane odbicie.....	301
Czwartek.....	328
Za lustrem.....	329
Przełamana prawda.....	345
Powracający koszmar.....	370
Posłowie.....	398
Echo drugiego tomu.....	400

Wstęp

Czasami pytania są ważniejsze niż odpowiedzi. Czasami to, co wydaje się prawdą, okazuje się jedynie iluzją. Precyzyjnie ułożoną układanką, której brakuje jednego kluczowego elementu.

Ta historia zaczyna się od jednej karty tarota, której nie powinno być. Od zegara, który wskazuje godzinę, ale nie czas. Od śmierci, która okazuje się bardziej początkiem niż końcem. To są pierwsze znaki. Subtelne szczeliny w podświadomości, a nawet zwiastuny czegoś, co wciąż pozostaje nienazwane.

To nie jest opowieść o bohaterach. Jeśli szukasz prostych odpowiedzi, nie znajdziesz ich tutaj. Nie ma jasnych podziałów na dobro i zło. Na tych, których trzeba ocalić i tych, którym pozostało tylko potępienie. Są to wybory. Decyzje podejmowane w mroku, wśród cieni, które tylko wydłużają się z każdym krokiem w stronę prawdy. Ślady prowadzą donikąd. Albo w miejsca, w które lepiej nie zaglądać. Jednak ciekawość jest jak trucizna. Raz zasiana w umyśle zaczyna rozrastać się bez kontroli. Niech to będzie ostrzeżenie. Albo zaproszenie. Wybór należy do Ciebie.

Czas. Wszyscy myślą, że jest linią. Początkiem i końcem, ścieżką, którą można podążać, ale to kłamstwo. Czas nie biegnie. Czas trwa. Nieubłagany, nieruchomy, a jednak wciąż wymykający się z rąk. Możemy go mierzyć, próbować oswoić, zamknąć w mechanizmach zegarów i kalendarzy, ale on nie poddaje się żadnym regułom. Zatrzymany w jednej chwili bywa wiecznością. Rozciągnięty w nieskończoność potrafi zniknąć w mgnieniu oka.

Zegar. Pozornie posłuszny, odmierza godziny, porządkuje chaos, daje iluzję kontroli, ale to tylko złudzenie. Wskazówki krążą w kółko, uwięzione w wiecznej pętli, która nie zna końca. Możemy patrzeć na nie, śledzić każdą sekundę, a mimo to nigdy nie dowiemy się, kiedy wybije ta ostatnia. Bo zegar mierzy czas, ale nie zna przyszłości.

Śmierć. Nie patrzy na zegary. Nie liczy dni ani minut. Nie przychodzi za wcześnie ani za późno, ale tylko wtedy, gdy uzna, że to właściwy moment. Nie ostrzega, nie czeka, nie tłumaczy. Jest cicha, niewidzialna, obecna w cieniu każdej sekundy. Możemy odwracać wzrok, oszukiwać się, że jeszcze nie pora, że wskazówki wciąż mają kilka okrążeń do pokonania, ale ona nie potrzebuje wskazówek.

Prolog

– Pierwsza. *Mag*. Cztery elementy, rzekoma władza, ale on nie ma kontroli. On tylko rozpaczliwie próbuje polatać to, co już pękło.

Palec sunie niżej, zostawiając na papierze niewidzialną smugę łęku.

– Druga. *Kochankowie*. Spleceni w uścisku, który przypomina duszenie. Cienie zamiast twarzy. Wybór, który od początku był tylko kłamstwem.

– Trzecia. *Rydwán*. Dwa konie szarpiące się w przeciwnych kierunkach. Nie ma zwycięstwa, detektywie. Jest tylko rozrywanie na strzępy w absolutnej pustce.

– Czwarta. *Sprawiedliwość*. Waga bez ciężaru. Równowaga trupa, który nie ma już nic do stracenia.

Przelykam ślinę, ale moje gardło to rura pełna pyłu. Morgana nie przestaje.

– Piąta. *Pustelnik*. Latarnia, która zamiast świecić, wsysa resztki światła. Ciemność, która nie daje wytchnienia.

Oddycham płytko. Każde jej słowo to kolejny kamień do worka, który mam uwiązany u szyi. Czuję, jak mój kręgosłup trzeszczy pod tym ciężarem.

– Szósta. *Koło Fortuny*. Obraca się w próżni. Karma utknęła na środku, w martwym punkcie, a los... los po prostu zamarzl.

Czuję, jak zaciskam dłoń w pięść, kiedy przechodzi do kolejnej.

– Siódma to *Śmierć*. Szkielet tańczy w kółko, ale koniec nie nadchodzi. Wieczna agonია.

– Ósma. *Wisielec*. Odwrócony, patrzący w dno piekła... Czas się zatrzymał, a on czeka na coś, co nigdy go nie wybawi.

– Dziewiąta. *Cesarzowa*. Ziemia jałowa, stłumiona, ale życie zgnilo

pod warstwą lodu. Płodność karmiąca się trupami.

– Dziesiąta. *Gwiazda*. Woda, która nie splywa, kisi się w korytach. Zatrzymana płonna nadzieja.

– Jedenasta. *Wieża*. Zniszczona, ale chaos niczego nie zmienia. Wieczny upadek, który nigdy nie kończy się uderzeniem o bruk.

– Dwunasta to *Głupiec* – syczy, a jej głos brzmi jak piach sypany na marmur. – Krok w przepaść. Nieświadomość bydlęcia prowadzonego na rzeź.

Jej palec zatrzymuje się na samym środku tarczy. Tam, gdzie farba pękła, tworząc czarną wyrwę.

– To... nie ma ruchu – szepcze, a w jej oczach widzę odbicie końca świata. – Wszystko jest zawieszona. A my nie wiemy, co się stanie, gdy pęknięcie pójdzie dalej... Coś już się zaczęło. Albo właśnie dobiega końca.

Skwierczenie świecy w rogu brzmi jak kroki kogoś, kto idzie po nas, pustym korytarzem. Cienie na ścianach pełzną powoli, leniwie, jakby miały całą wieczność na to, by nas osaczyć. Duchota oblepia skórę jak mokra folia. To powietrze nie służy do oddychania. Służy do duszenia. Kadzidlany smród, słodkawy i mdlący, wżera się w nozdrza jak zapach rozkładającego się mięsa.

Czego ja, kurwa, oczekiwałem? Że wyjdę stąd z adresem mordercy? Symbole, których nikt nie rozumie, i wariatka mówiąca zagadkami, sama przerażona tym, co widzi. To nie jest śledztwo. To oglądanie własnej egzekucji w zwolnionym tempie.



PONIEDZIAŁEK



Złodziej snów

Zerwanie ze snu to nie proces, to brutalny uraz. Jakby ktoś wrzucił cię nago do przerębla. Nagły, lodowaty szok, który wyciska powietrze z płuc i zostawia cię zdrętwiałego, z walącym sercem. To nie jest powolny powrót do rzeczywistości. To gwałtowne szarpnięcie za kołnierz prosto w objęcia egzystencjalnego bagna.

Zegar puszcza sprężynę, a czas rozlewa się po pokoju jak brudna woda, wnikając w szczeliny zardzewiałych trybów mojego życia, osiadając na przekładniach i łożyskach. Nic tu nie działa, ale też nic się nie zatrzymuje. Płynie dalej, dziko, obco i kompletnie obojętnie.

Nie ma łagodnego przejścia, jest tylko surowa chwila, w której świat wdiera się ze swoimi ostrymi krawędziami, rozcinając przestrzeń między snem a jawą.

Myśli są jak porwane kartki, rozedrgane, tańczące na wietrze. Serce bije szybko, nie nadążając za tym, co nadchodzi. Wyrwane z sennej hibernacji, nieprzygotowane na tę konfrontację. Ciężar snu przygniata kończyny, nie pozwala im się poruszyć. Ciało waży tonę, przykute do łóżka stagnacją, która dusi skuteczniej niż brak tlenu.

Otwieram oczy. Pierwsza sekunda to zaćmienie. Mętne kształty, cienie tańczące na suficie jak wyblakłe widma w świetle księżyca. Nie mam pojęcia, gdzie jestem i szczerze mówiąc, mało mnie to obchodzi.

Po chwili widzę rozmyte plamy światła z zewnątrz. Pulsują w rytm mojego oddechu. Wzrok, przyzwyczajony do ciemności, nie potrafi uchwycić wyraźniejszych zarysów, nie znajdując ostrości, która pozwoliłaby zrozumieć, co dzieje się wokół. Migotliwe smugi przesuwają się leniwie po ścianach, obnażając nędzę mojego otoczenia, odbite od czegoś, czego nie widzę. Lampa, neon, jakie to ma znaczenie?

Pozwalam sobie na bezruch, licząc, że noc nie skończyła się jeszcze, że mogę zawrócić do snu, ale wiem, że to niemożliwe.

Sięgam po telefon. Zegar pokazuje **2:07**. Dopiero teraz dociera do mnie, że ekran jest zbyt jasny, oślepia i razi, okrutnie wrywając mnie

z półsnu. Tnie ciemność jak odłamek szkła, wbijając się w zmęczony umysł. Ból rozrywa oczy. Mrugam, ale to nic nie pomaga. Obrazy pod powiekami wypalily się jak martwe negatywy. Białe wstęgi, nieruchome. Zamykam oczy, ale one wciąż tam są. Dyszę, walcząc o każdy wdech w tym pokoju przesiąkniętym dymem i starymi błędami.

Przecieram twarz, próbując zrzucić to zmęczenie, ale ono jest jak kamień u szyi... Nie chce odejść, nie pozwala. Moje ciało już się poddało. To nie wybór, to jest fakt. Nie walczę, bo i tak bym przegrał. Za dużo palę, za dużo piję, nie tylko kawy. Za mało powodów, by w ogóle wstać z łóżka.

Każda noc to ten sam nędzny scenariusz. Sen płytki jak kaluża po letnim deszczu, praca, która wysysa duszę, i stres krążący wokół mnie jak smród z popielniczki. Pomoc? Może i gdzieś jest, ale nie mam siły, tym bardziej ochoty po nią sięgać. Niech się wszystko sypie, niech świat płonie, byleby tylko dali mi spokój.

Przekręcam się na bok, czując pod policzkiem chłodną, lepką od potu poduszkę. Przykleja się do mnie jak wyrzut sumienia, który wdycham z każdym oddechem. Zmienię ją? Jasne. Kiedyś. Czyli nigdy.

Ulewa wali w parapet z uporem sadysty uczącego się grać na pianinie. To nie jest kojący szum, to irytujący rytm, który przypomina, że odpoczynek to luksus, na który mnie nie stać. Zegar na ścianie nie odmierza czasu, on go wyżera. Każde tyknięcie to kęs wyrwany z mojego życia. Zostaje coraz mniej, a ja nawet nie próbuję uciekać. Gdzieś w dole przejeżdża samochód, jego opony świszczą, dźwięk rozplywa się, mieszając z ciszą w wąskich uliczkach.

Wciągam wilgotne, ciepkie powietrze. Mieszkanie cuchnie przeszłością, która wżarła się w meble tak głęboko, że nie wywietrzy jej żaden przeciąg. Na stole stoi butelka whisky, przyklejona do blatu warstwą wyschniętego alkoholu. Stała się częścią tego miejsca. Obok niej pusta szklanka. Czeka na napełnienie, które nie zaspokoi naszych

pragnień. To jest stały element krajobrazu mojej wędrówki.

Trudno powiedzieć, która to noc. Może ta sama co wczoraj. Może żadna. Wlecze się jak zwierzę z rozerwanym gardłem, którego nikt nie miał odwagi dobić. Ta noc to mój prywatny **Styxs**, a ja jestem swoim własnym, pijanym przewoźnikiem. Popycham tę dziurawą łódź z jednego brzegu na drugi, modląc się w duchu, żeby w końcu zaczęła nabierać wody i poszła na dno.

Nagle telefon wibruje jak dzwon w oddali, który nie przestaje wzywać, rozbijając resztki samotności w drobny mak. Podnoszę go, mrużąc oczy przed blaskiem. Tym razem jestem gotowy.

Na ekranie wyświetla się Dean T. Harlow. Samo to nazwisko wywołuje u mnie odruch wymiotny zmieszany z rezygnacją. Uśmiecham się cynicznie. Mimo to odbieram.

– Wiesz, która godzina? – warczę.

– Czekaj... **2:40**. Idealna pora, żeby zacząć kolejny beznadziejny dzień – rzuca Dean.

Siadam, spuszczać nogi na podłogę. Zimno tnie stopy aż do kości, skurcz wędruje w górę kręgosłupa, prosto do karku. Ściągam palce, próbując uzyskać choćby chwilową ulgę, ale to nic nie daje. Mam wrażenie, że to coś więcej. Podłoga chce mnie odrzucić, powiedzieć, że nie jestem tu mile widziany.

Sięgam po papierosa, palce drżą na paczce. Potrzebuję chwili, żeby zebrać te resztki myśli, które jeszcze nie zdechły. Nie wiem, co czuję ani co dokładnie się dzieje, ale mam nadzieję, że dym pomoże mi na chwilę zapomnieć. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Zapalniczka leży na stole. Chwytam. *Pstryk*. Nic. *Pstryk*. Nadal nic. Patrę na nią z obrzydzeniem. Zawodzi w jedynym momencie, gdy jej potrzebuję. Kolejny ruch kciuka jest pozbawiony nadziei. Iskry sypią się na stół, przypominając dogasające gwiazdy w jakimś zapomnianym przez Boga sektorze galaktyki...

W końcu jest. Płomień. Chwiejny, nędzny, żółtawy... jedyne światło w tym grobowcu, który nazywam domem. Odbija się w moich oczach, wyciągając z mroku worki pod powiekami i zmarszczki, których jeszcze wczoraj tam nie było.

Zaciągam się, bardziej niż potrzebuję. Chciałbym, żeby ten jeden oddech mógł odwrócić wszystko, co mnie męczy. Ciepły dym wypełnia mnie szczelnie, wypierając resztki tlenu, który od rana smakuje porażką. Zatrzymuję go w sobie na moment, doświadczając tego, jak leniwie rozchodzi się po moim ciele.

– Masz szczęście, że nie spałem. A właściwie to pecha. – Moje słowa brzmią bardziej znużone niż zwykle. Wypowiadam je bez większego zaangażowania, bo i tak wiem, co zaraz usłyszę.

W tle brzęk szkła i ten bełkotliwy gwar ludzkich odpadów, świętujących kolejną noc, której udało im się nie zdechnąć.

– Słuchaj... – przebija się przez ten szum. Głos pełen desperacji, od której robi mi się niedobrze. – Wiem, że to nie jest twój problem, ale... możesz mnie odebrać?

Wypuszczam powoli dym przez nos; przypomina duszę opuszczającą moje ciało. Zawsze to samo. Niegdyś nawet mnie to bawiło. Teraz? Już tylko męczy.

Kiedys myślałem, że jestem wolny. Że ten cały syf, te noce bez końca i dni bez znaczenia to mój wybór. Gówno prawda. Teraz czuję się jak **Ikar**, który nie tylko spalił skrzydła, ale przeżył upadek i teraz musi gnić w tym bagnie z połamanymi nogami, patrząc na słońce, które ma go głęboko w dupie.

– Co, za dużo wczoraj? – pytam, choć odpowiedź nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia. W oddali słychać wycie syreny. Dźwięk, który nigdy nie zwiastuje niczego dobrego.

– Oszczędź mi kazań. Po prostu przyjeżdż. To nie tylko podwózka, mamy robotę.

Robota. Magiczne słowo, które zawsze oznacza, że ktoś inny będzie krwawił, a ja będę musiał to sprzątać. Wzrok wraca do butelki. Stoi tam jak oskarżyciel, który zna wszystkie moje słabe punkty. To moja **syrena**. Jej blask obiecuje ukojenie, a zapach wabi mnie do portu, który jest cmentarzem okrętów. Mam świadomość tego, że jej pieśń jest kłamstwem, mimo to i tak kieruję swoje żagle w jej stronę.

Wiem, co mnie czeka, choć nie mam najmniejszej ochoty na to, co się za chwilę wydarzy. Głowa pulsuje rytmem pogrzebowego bębna.

Świat nie czeka na moje gorzkie żale, on nawet nie zauważy, kiedy w końcu zniknę i to jest w tym wszystkim najbardziej cyniczne. Ta świadomość, że nawet moja autodestrukcja jest dla tego miasta kompletnie nieistotna.

– Przyjedziesz?

Wdech, wydech.

– Oczywiście. Harlow, wzór profesjonalizmu – mówię, i czuję, jak jad sam spływa mi po brodzie.

– O, proszę! Detektyw Laamesth'on w swoim typowym, moralizatorskim tonie.

Czekam, aż echo jego rechotu zdechnie w słuchawce. Zastanawiam się, ile litrów nienawiści do samego siebie musiał przechylić, zanim odważył się wybrać mój numer.

– Gdzie jesteś?

– W naszej ulubionej spelunie.

Point Ice. Świątynia beznadziei. To miejsce nigdy nie zasypia, bo boi się koszmarów. Nie zadaje pytań, nie ocenia. Wchodzisz tam jako człowiek, wychodzisz jako cień. Albo wcale nie wychodzisz.

Idę w stronę okna. Moje stopy mijają niedopalki. Małe, białe zwłoki moich wczorajszych decyzji. Podłoga skrzypi pod ciężarem moich błędów. Wycieraczka powoli wrasta w dechy, gnije w milczeniu, zbędna jak cała reszta tego śmietnika. Firanka zwisa w nieładzie, drży przy

każdym moim oddechu. Jest stara, pożółkła i sztywna, przypomina pergamin wykonany z ludzkiej skóry. Powietrze w pokoju jest nasyczone, naładowane dreszczem, który zwiastuje tylko kolejny upadek. Zasłona napina się jak struna w instrumencie tortur. Zaraz puści.

Osad na szybie to warstwa przeszłości, której żadna ilość deszczu już nie zmyje. Nie ma szans na oczyszczenie tego miejsca, bo i właściwie po co? To jest pamiątka po tych, którzy już odeszli, zostawiając swoje ślady w najbardziej nieoczywistych miejscach. W lewym dolnym rogu widać pajęczynę pęknięć. Zaczyna się od drobnej rysy jak blizna na umęczonym ciele. Mimo że nikt tego nie zauważy, ona tam jest. Czasem tylko na nie spojrzę, tak jak teraz, z chwilową ciekawością, zanim znowu skupię się na tym, co ważniejsze.

W odbiciu widzę wrak. Cienie pod oczami... są tak głębokie, że mogłyby służyć za groby. Zarost jest za długi, zaniedbany, nieistotny. To tylko kolejna warstwa maskująca to, co zostało ze środka.

Smugi deszczu na zewnątrz rozmywają miasto w dziwną bezkształtną masę. Budynek wystają z mgły jak połamane żebra gigantycznego trupa. Latarnie rzucają blask w próżnię. Świecą zjawom, bo żywych już tu nie ma. Miasto żuje nas wszystkich powoli, cierpliwie, aż w końcu wypluwa prosto w błoto, gdy tylko stracimy smak.

Za szkłem, gdzie wiatr tańczy wśród cieni, coś się porusza. Ruch jest nienaturalnie wolny, jakby czas tam, na zewnątrz, już dawno stanął w miejscu. Ktoś tam stoi. Wbijam wzrok w gęstą czernią, nie widzę nic, a jednak czuję to *spojrzenie*. Przebija się przez szybę jak igła, ociera się o moją skórę, zostawiając lodowaty ślad. Nie potrafię tego zignorować, choć bardzo bym chciał.

Odrywam wzrok. W końcu co mnie to obchodzi?

Kolejne widmo w mieście duchów.

Wracam do rozmowy.

– Kto by pomyślał – rzucam w próżnię, bo sarkazm to jedyne, co

jeszcze trzyma mnie w pionie.

– Dyżurny zadzwonił. Patrol dostał zgłoszenie. Zgadnij, kto wygrał główniany los na loterii?

– Cudowny poniedziałek...

Dean prycha. To cichy, rzeźący dźwięk, w którym nie ma ani grama prawdziwego rozbawienia. Tylko wspólna akceptacja tego bagna.

– Jak zwykle. Howard, pośpiesz się.

Połączenie zostaje przerwane. Żadnych pożegnań, żadnych życzeń powodzenia. W tym świecie nikt nie marnuje śliny na uprzejmości, skoro i tak za chwilę możemy spotkać się w kostnicy.

Zaciągam się ostatni raz, czując, jak toksyczna chmura pali mi krtań, po czym duszę niedopalek w przepelnionej popielniczce. Moje palce drżą. Nie wiem, czy to z braku snu, czy to organizm błaga o kolejną dawkę trucizny, mimo że język mam już drętwy od nikotyny.

Wciągam koszulę. Guziki mijają się z dziurkami, tworząc na piersi asymetryczną krzywdę, której nawet nie mam siły naprawić. Bawełna jest sztywna od potu i starego dymu. Nosi na sobie mapę wczorajszych upokorzeń, a może i tych sprzed tygodnia. Żelazko? Nie pamiętam, jak wygląda. Marynarkę narzucam tak, jakby była całunem. Stary, zużyty tweed, który kiedyś mógł uchodzić za elegancki. Teraz to tylko nasiąknięta odorem alkoholu szmata, kolejna rzecz na długiej liście spraw do załatwienia, które mam głęboko gdzieś.

Pistolet leży na stole, przywalony stosem makulatury. Czarny metal lśni złośliwie. Powinien być w kaburze, ale nic w moim życiu nie jest tam, gdzie być powinno. Buty są uwalone błotem, matowe i smutne. Pastowanie ich w pogodę taką jak ta to tylko strata czasu.

Zaciskam palce na kluczach. Wychodzę.

Zamek *klika* z nieprzyjemnym, suchym trzaskiem. Winda nie działa. Oczywiście, że nie. Działała tylko raz. Rok temu. Pamiętam ten

dzień. Wszedłem, nacisnąłem przycisk i zabrała mnie na dół. Teraz to tylko puste metalowe pudło.

Drzwi klatki schodowej wałą o futrynę, a echo niesie się po piętrach jak wystrzał. Zatrzymuję się. W powietrzu wisi nieprzyjemny wyziew stęchlizny i szczylny. To miejsce to zwłoki budynku, a ja jestem robakiem, który wije się w jego trzewiach. Stopnie uginają się pod moimi butami, nasiąknięte wilgocią. Mają konsystencję mokrej gąbki. Nie myślę o tym. Po prostu stawiam kroki. Noga za nogą. Bezduśnie. Jak zawsze.

Wychodzę na zewnątrz. Chłód uderza mnie w twarz, mroząc pot na karku. Biegnę przez ulice, brodząc w kałużach, które wyglądają jak plamy rozlanej ropy. Asfalt lśni w świetle latarni srebrzystym, chorym blaskiem. Włosy kleją się do czoła, a zimny pot łączy się z chłodem. Skóra paruje jak przy gorączce.

Na parkingu panuje grobowa cisza. Woda cieknie przez dziurawy dach, miarowo uderzając o betonowy pył. Moje kroki są ciche, gubią się w mroku, zanim zdążą wywołać jakiegokolwiek echo. Mijam kilka zaparkowanych samochodów. W większości są to starsze modele, niektóre z widocznymi oznakami upływającego czasu.

Mój Ford stoi tam, gdzie zawsze. Wyblakły od słońca, z tłustymi plamami oleju na karoserii. Widać, że przez lata przeszedł niejedną naprawę, ale mimo to odpala za pierwszym razem. Obok niego, na wprost, stoi *rudy* van. Jego logo to już tylko nieczytelne wspomnienie, zatarte przez czas, który nie ma litości. Rdza wykwita na masce jak gangrena, żre go od środka, zgrzytając przy każdym podmuchu wiatru. Korozja ma swoje tempo, powolne, metodyczne, nieuniknione.

Ten van to ja. Unieruchomiony, wrośnięty w ziemię, z silnikiem, który dawno zapomniał, jak brzmi życie. Jest okazem erozji, cierpliwie czekającym, aż czas dokończy to, co zaczął. Ona nie krzyczy, ona konsumuje, milimetr po milimetrze, aż nie zostanie z człowieka nic poza

sypiącym się wspomnieniem tego, kim był kiedyś. Historia, której nie da się już zmienić, rysuje się na jego powierzchni. Czeka już tylko na to, by stać się częścią tego miejsca.

Otwieram drzwi. Wnętrze wita mnie chłodem grobowca. Skórzane siedzenie jest lodowate, nieprzyjemne, jakby brzydziło się mojego dotyku. W środku unosi się odór przepalonego oleju i starego dymu, który wsiąkł w tapicerkę tak głęboko, że stał się jej elementem. Moja własna mobilna kadzielnica. Świątynia na kółkach dla kogoś, kto już dawno przestał wierzyć w jakiegokolwiek bóstwa.

Przekręcam kluczyk. Silnik rzeźi niskim, chrapliwym dźwiękiem, przynosząc drżenie z kierownicy prosto na moje dłonie. Radio budzi się do życia samo. Z głośników wylewa się stary rock. Wokalista ma głos przepity, zdarty do żywego mięsa, wymęczony tysiącami mil bezsensownych podróży. Brzmi jak krzyk wydzierający się z gardła pełnego żwiru, podszyty tą jedną, ledwo uchwytną nutą melancholii, która sprawia, że masz ochotę zjechać w przepaść.

Przez chwilę trwam w bezruchu. W kabinie robi się duszno, para osiada na szybach, odcinając mnie od świata. Deszcz bębni o dach parkingu, jakby chciał się przebić do środka i mnie utopić. Przesuwam dłonią po gębie. Myślę o kawie. Albo o czymś, co naprawdę uciszyłoby to dudnienie w czaszce.

Zamiast tego chwytam kierownicę tak mocno, że jej szorstka tekstura wrzyna mi się w palce. Wrzucam bieg. Silnik mruczy gniewnie, gotowy do kolejnej rundy w tym bagnie. Dociskam gaz. Koła miały mokry beton, opony piszczą w desperackiej walce o przyczepność. Ford szarpie, odnajduje opór asfaltu i wyrывa do przodu. Dźwięk obrotujących się kół miesza się z wyciem silnika, a w powietrzu zostaje tylko smród spalonej gumy i spalin.

Ulice są puste, wybebeszone z życia. Wszystko, co jeszcze oddycha, zaryglowało się w domach, ale Los Angeles nie śpi...

Czuwa, patrząc w ciemność swoimi ślepyimi, neonowymi oczami. Pusta przestrzeń drwi z nas wszystkich, a asfalt, który ledwo mieści własny ciężar, zdaje się istnieć tylko po to, by czekać na kolejną duszę. Światła rozlewają się na jezdni jak krew z rozbitego nosa. Czerwienie, żółcie, zielenie. Te kolory malują się na kałużach, tworząc zniekształcone, chore odbicia. To halucynacja wyjęta z koszmaru, ze wszystkiego, co zwykle bywa normalne.

Przy krawężniku stoi kobieta w długim czarnym płaszczu. Wygląda jak żalobnica, która zgubiła trumnę i teraz nie wie, kogo właściwie ma oplakiwać. Szarpie kołnierz, walcząc z wiatrem, który próbuje obdrzeć ją z ostatniej warstwy godności. Może czeka na kogoś, kto nie zdążył przed nocą, albo na kogoś, kto po prostu miał dość i nigdy nie zamierzał wrócić.

Mijam przystanek. Wzrok skupiam na bezdomnym, który skulił się pod jaskrawą reklamą wakacji na Malediwach. Wygląda jak wyrzucony na brzeg śmieć, którego ocean litości nigdy nie zechce przygarnąć. Jego oblicze, schowane w zniekształconym od brudu płaszczu, jest już tylko wspomnieniem człowieka. Na plakacie błękitne niebo i piasek tak czysty, że aż wulgarny. To nie jest reklama, to wyrok. Krople deszczu spływają po gładkim plastiku, zamazując ten tani raj, zmieniając go w gnijącą, turkusową ranę. Cholerna, bezczelna iluzja dla tych, którzy mają jeszcze dość naiwności, by wierzyć w *jutro*.

Czerwone światło. Zatrzymuję się, a silnik warczy cicho pod maską, jak pies przed atakiem. Wycieraczki tną szybko: *lewo, prawo, lewo, prawo*. Hipnotyczny rytm, który odlicza czas stojący w miejscu. Wodna zasłona zmienia świat w akwarelową plamę szarości, poprzecinaną nerwowymi blaskami neonów. Przez skrzyżowanie przemyka brudna taksówka, zostawiając po sobie smród spalin i mgły. Widać już tylko zarys maski, ściśniętej między nocną zmianą a snem. Twarzy, równie zmęczonej, jak ta, którą widziałem dziś rano w odbiciu.

Zielone światło. Wbijam bieg z satysfakcją. Moje auto rusza dalej, rozrywając tę mazistą plamę miasta, zostawiając skrzyżowanie za sobą. Muzyka nagle cichnie, a w radiu pojawia się znajomy komunikat:

„Uwaga. W związku z trwającym stanem wyjątkowym publikujemy raport ratusza: w Los Angeles trwa trzecia doba zjawiska całkowitego zaniku światła dziennego. Anomalna ciemność utrzymuje się mimo wcześniejszych prognoz, które zakładały ustąpienie fenomenu po czterdziestu ośmiu godzinach...”

Po trzech dniach te komunikaty to tylko szum. Godziny i minuty zlewają się w jedno, a ich gadanie stało się jedynie stałym elementem krajobrazu. Tak samo nudnym, jak ta cała pieprzona ciemność.

„Mieszkańcy są proszeni o zachowanie szczególnej ostrożności i unikanie przemieszczania się bez wyraźnej potrzeby. Transport publiczny oraz kluczowe usługi działają wyłącznie w trybie awaryjnym...”

Beznamiętne, puste zdania. Martwe słowa wyrzucone na ulicę.

„Ciemność najprawdopodobniej utrzyma się jeszcze przez kolejne cztery doby. Prognozy ekspertów wskazują na wysokie prawdopodobieństwo wystąpienia kolejnych, nieprzewidywalnych zjawisk atmosferycznych. Prosimy o zachowanie spokoju. Na drogach odnotowuje się stały wzrost liczby wypadków. Służby ostrzegają przed całkowitą utratą orientacji w terenie. Przypominamy: usługi medyczne i ratunkowe funkcjonują w trybie priorytetowym, jednak należy liczyć się ze znacznymi opóźnieniami. Pozostańcie w domach”

Znowu to samo. Głupie pierdolenie o fenomenach, jakby użycie mądrego słowa miało cokolwiek wyjaśnić. Nie potrafią doprecyzować zwykłej prognozy pogody, a każą nam wierzyć w te ich cztery doby.

Wzruszam ramionami. Ciemność, wypadki, ostrzeżenia.

Wszystko to samo każdego dnia.

Każdego cholernego, czarnego dnia.

Skrećam w boczną uliczkę, hamując przy krawężniku. Silnik gaśnie. Napis nad wejściem nieprzerwanie walczy: *czernień, czern, czernień*. Światło przerywa mrok w nierównych, spazmatycznych pulsach jak ostrzeżenie. Wyraźne, ale niewyraźne zarazem.

Zaraz ten blask zgaśnie na dobre, zostawiając po sobie tylko nie-skończoną, tłustą czern. Ten neon to fałszywa latarnia na gnojowisku nadziei. Nie wskazuje drogi do domu. On tylko oznacza punkt, w którym możesz utonąć w nieco bardziej luksusowej scenerii. Mruga do mnie porozumiewawczo jak pijana dziwka: *wejdź, tu mrok smakuje tak samo, tylko rachunek będzie wyższy*.

Przekraczam próg. Drzwi ustępują pod moim naciskiem, skrzypiąc głośno. Pierwszy oddech wchodzi do gardła, trudny do przelknięcia. Mętny, lepki, zostaje na długo. Duchota i gorycz, najpierw subtelne, po chwili wbijają się głębiej, wypełniają płuca jak czarna smoła, która nie zostawia miejsca na powietrze.

Panele pod nogami są porysowane i uwalone brudem, jakby regularnie przeciągano po nich zwłoki klientów, którzy zapomnieli zapłacić. Wszystko tu jest zużyte, wyplute przez czas, zniszczone latami absolutnej, bezlitosnej obojętności. Tanie lampy wiszące nad głowami rzucają blade światło, które ledwo rozjaśnia wnętrze, sprawiając, że wszystko zdaje się rozmyte. Stoliki matowe, pozbawione połysku.

Pod cienką warstwą kurzu można dostrzec ledwo czytelne, wypłowiałe napisy na ścianach. Nikt nawet nie zwraca uwagi na to, że ktoś wchodzi. Nie ma tu tłumu. Są tylko resztki.

W kącie siedzi dwóch robotników, których życie zmieliło i wypłuło gdzieś po drodze. Ciemne dłonie, zniszczone przez pracę, przesuwają

karty, kładąc je na stół jednym, płynnym ruchem jak skazańcy odliczający dni do kolejnej apelacji.

Ktoś śpi przy stoliku obok. Głowa wbita w brudny blat, ciało sztywne jak pośmiertne stężenie. Oddech cichy, ledwo słyszalny, pełny zmęczenia, w którym nie ma nadziei. Skórzana kurtka zwinęła się kłębkim pod głową. Nikt nie patrzy, nikt się nie przejmuje. Jeśli jutro rano wyniosą go nogami do przodu, jedyną reakcją będzie narzekanie, że blokuje przejście.

Barman to wysoki, spocony kawał mięsa z twarzą pociętą licznymi zmarszczkami. Wyciera szklankę z furją godną **Syzyfa** w brudnym fartuchu. Ta szklanka nigdy nie będzie czysta, tak jak to miasto nigdy nie zmyje z siebie grzechu, ale on musi ją trzeć. Robi to, by nie zwariować od świadomości, że jego gład codziennie stacza się prosto do zlewu pełnego pomyj.

Jest i on. Dean. Siedzi przy barze nieruchomo, wrośnięty w blat jak rak w zdrową tkankę. Jego cień pelźnie po ścianie, tłusty i czarny, niemożliwy do zgubienia. Spojrzenie utkwiło w jednym punkcie, ale nie ma w nim nic, co mogłoby świadczyć o zaangażowaniu. Podnosi głowę, gdy podchodzi.

– Kurwa, czekanie na ciebie to jak powolne odliczanie do śmierci.

– Ciebie też miło widzieć. Ciesz się, że w ogóle jestem.

Siadam obok, palce stukają o blat; cicho, bez pośpiechu.

– Podwójna, z lodem – rzucam do barmana.

Mężczyzna kiwa głową, wystarczająco, by wszystko było jasne, potem odkłada swój *gład* gdzieś pod ladę. Kostki lodu strzelają w szklance jak drobne fajerwerki. Wypijam zawartość naraz. Bez namysłu, bez zastanowienia. Znika szybciej, niż zdążę mrugnąć.

– No dobra. To gdzie odbiór *nagrody*?

– Hotel **Crumenatic Rebuss**. Technicy już są na miejscu. Mercer dojedzie do nas.

Diana Mercer. Patolog. Królowa kostnicy, zawsze tam, gdzie krew jest jedynym dowodem istnienia. Tam, gdzie nadzieja wykrwawiła się dawno temu, a jedyne, co zostaje, to lodowate milczenie stalowego stołu. Nie mam złudzeń, to miejsce to kolejna stacja drogi krzyżowej, na której nikt nie zmartwychwstanie.

– To ten na przedmieściach?

– Tak. Ten, który od dawna powinien być zrównany z ziemią.

– Ofiara?

– Nie wiem. Albo nie pytałem.

Nic nowego. Ten sam, stary, śmierdzący cyrk.

– Gotowy? – pytam.

– Daj mi chwilę – prosi, a w jego głosie pobrzmiwa cień czegoś, co kiedyś było zmęczeniem, a teraz jest już tylko rezygnacją.

– Miałeś ich wystarczająco dużo.

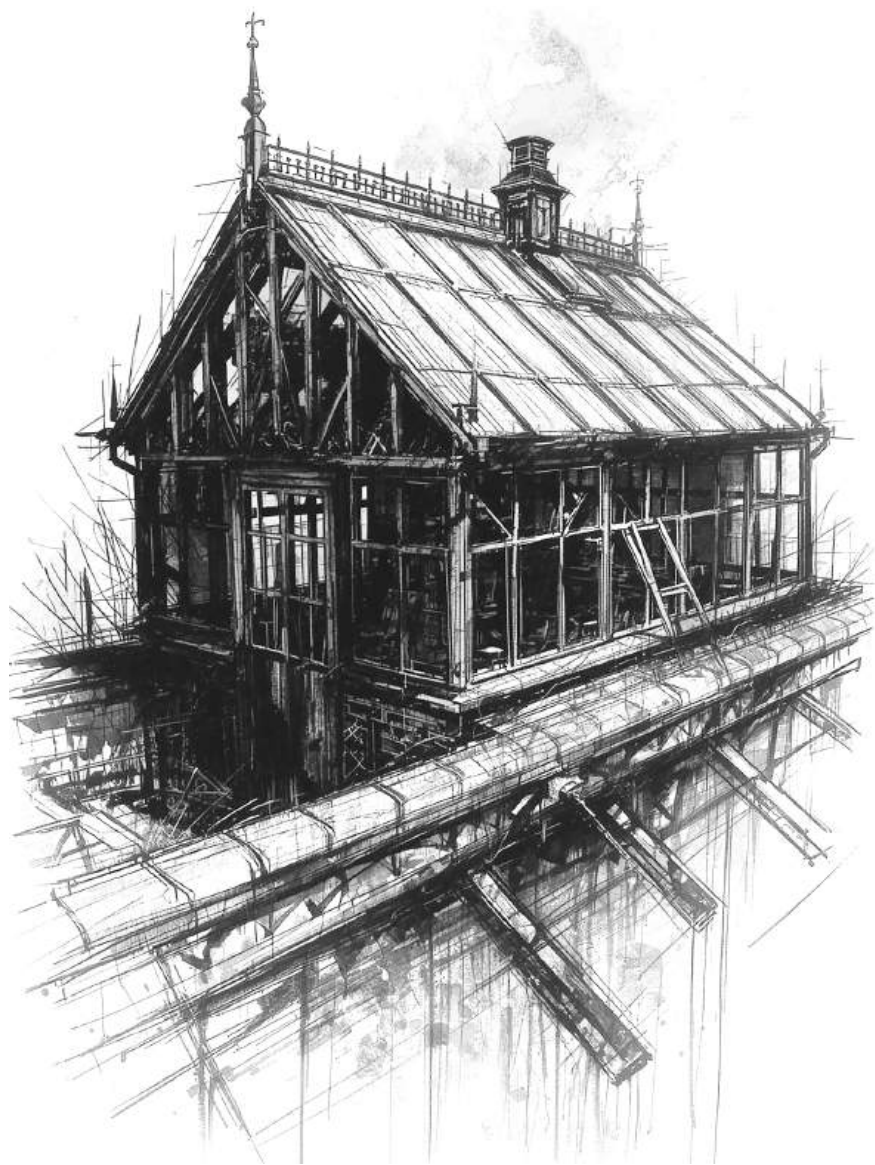
– Masz jeszcze sumienie, człowieku? – pyta, a ten żart brzmi jak suchy kaszel gruźlika.

– Miałem – odpowiadam cicho.

Dean uśmiecha się, ale to nie jest uśmiech. To tylko zewnętrzna reakcja, coś wyćwiczonego. Krzywy grymas, który nie mówi nic. Wolno dopija resztki, jakby ten ostatni łyk miał dla niego jakieś znaczenie. Wkładam papierosa do ust, zaciągając się na sucho; to tylko odruch.

Drzwi za nami zamykają się z cichym, tłumionym dźwiękiem.

Przedstawienie czas zacząć.



Cień, głośniejszy od krzyku

Opona ślizga się po krawężniku, wydając przerywany dźwięk. Silnik drga, dławi się, aż w końcu milknie. Przed nami architektoniczny trup, wokół którego krążą radiowozy. Stoją tam nieruchomo jak sępy, które czekają, aż padlina wystarczająco zmięknie, by dało się ją rozszarpać. Czerwone i niebieskie światła rzygają na mokry bruk, tańcząc w kałużach w rytm jakiejś chorej, zniekształconej melodii.

Zimny wiatr wbija się w skórę, zmuszając ciało do poddańczego skurczu. Deszcz nie tylko pada... on przeszywa to miasto, rozbijając się o mury z furją, jakby chciał zetrzeć Los Angeles z powierzchni ziemi. Beton pęka pod jego pięściami. Woda na ulicach nie ma już gdzie uciekać. Rynny rżęzą, zapchane brudem, a ścieki wylewają się na chodniki, niosąc ze sobą cały syf, który miasto próbowało ukryć w kanałach. Każdy krok to walka z błotnistą mazią, która wchodzi w buty, wchłania się w pory skóry, aż staje się częścią mnie. Czuję, jak ten brud powoli zastępuje moją krew.

Unoszę wzrok. To nie budynek, to monument porażki. Wciśnięty w wąską uliczkę, zdaje się podtrzymywany przez sąsiednie ruiny tylko po to, by proces gnicia był bardziej widowiskowy. Tynk odpada płatami, odsłaniając gołe, ceglane mięso murów. Rdzawe rynny zwisają niczym połamane, przegniłe kości, niezdolne już utrzymać ciężaru tego całego nieszczęścia. Okna? To tylko czarne, puste oczodoly. Wyglądają jakby mrok, który w nich mieszka, wypalił wszystko, co kiedykolwiek miało tam jakąś wartość.

Czas nie tylko odcisnął tu piętno. On tu dokonał egzekucji. Miejsca takie jak to nie mają już nic więcej do zaoferowania poza gorzką lekcją o tym, że nic nie trwa wiecznie.

Dean przelyka ślinę, a dźwięk ten wydaje mi się nienaturalnie głośny. Chowa dłonie głęboko w kieszeniach, jakby szukał tam resztek odwagi albo chociaż papierosa, który nie zamókł. Szuka czegokolwiek, co nie byłoby tą beznadzieją, która nas otacza. Daremny trud.

W tym mieście nie ma już bezpiecznych schronień.

– Pora zobaczyć, kto tym razem był na końcu kolejki – burczy.

W tej zgnilej ciemności nocne światła ledwie zarysowują kontury ulicy, jakby miasto wstydziło się pokazać swoją prawdziwą twarz. Przy wejściu gnije młody policjant. Mokra kurtka oblepiła go jak druga, nieszczęśliwa skóra, nasiąknięta nocą i cudzym pechem. Prostuje się na nasz widok, odruchowo, choć obaj wiemy, że hierarchia w tym miejscu nie istnieje... Jest tylko ten, który jeszcze stoi, i ten, który już leży. Chłopak ucieka myślami gdzieś daleko, pewnie do świata, w którym krew nie miesza się z deszczówką, ale nasze spojrzenie brutalnie ściąga go z powrotem.

– Dach – rzuca krótko, zanim zdąży splunąć pytaniem.

Zatrzymuję się przed drzwiami, przez chwilę tylko patrzę na nie. To chyba odruch, który nie ma sensu. Albo ma? Nie wiem. Poczulem coś... Zgrzyt w głowie, który zawsze pojawia się, gdy jesteś na drodze. To jak niewielka przerwa w oddechu, moment zawahania się, kiedy nie wiesz, czy to, co odczuwasz, to strach, czy tylko rutyna, która w końcu daje o sobie znać. Instynkt krzyczy: *zawróć!* Wyje jak syrena alarmowa w pustej fabryce. Słyszę to wyraźnie, niemal jak szum pojawiający się zawsze w takich chwilach, kiedy trzeba podjąć decyzję, ale wiem, że nie zawrócę. Nie zastanawiam się dlaczego. Może nie potrafię już uciekać od tych rzeczy. Może nawet nie chcę. Instynkt nie pije kawy o trzeciej w nocy, nie pali papierosów i nie wchodzi do tego zapomnianego miejsca... przynajmniej nie w tym momencie. Mój instynkt dawno zdechl, a ja tylko niosę jego zwłoki na plecach.

Hotel **Crumenatic Rebuss**. Nawet jego nazwa brzmi jak żart, ale nie taki, który śmieszny. Raczej ten, który przyprawia o ból głowy. Stary, zapomniany kawałek miasta, który kiedyś musiał mieć znaczenie, ale teraz symbolizuje tylko upadek.

Przekraczam próg i dostaję w twarz stęchlizną. Jest mokra, ciężka,

wgryza się w gardło jak kwas, który chce wypalić mi płuca od środka. Ściany chłoną wilgoć od dekad, a powietrze smakuje jak porażka doprawiona kurzem, ale pod tym wszystkim czai się ten drugi zapach. Mdlący, słodkawy, jak wiązanki pogrzebowe rzucone do rowu. Ten swąd jest tu gospodarzem, wmurował się w fundamenty, stał się DNA tego miejsca. Chłonę go, mimo że nie chcę.

Ściany są pomarszczone, przypominają skórę starca. Każde rysa to blizna. Szary nalot czasu zalega na wszystkim: *meblach*, *okenach*, *moich dłoniach*. To grube warstwy brudu, ale nie na tyle, by nie wyczuć pod nimi każdej zmarszczki tej architektury zła.

W tym śliskim od nieczystości powietrza doświadczam, jak płuca robią się ociężałe, a oddech staje się płytszy.

Pod butami deski jęczą i zgrzytają niczym wyschnięte piszczele pozbawione szpiku. Kiedy stawiam krok, jedna z nich wydaje z siebie przeciągły skowyt, jakby protestowała przeciwko samemu faktowi istnienia. Latarka w moich drżących rękach rzuca wąskie, chorowite światło, które ledwo radzi sobie z mrokiem.

Cienie pelzną po framugach, wspinają się na sufit jak chude, drańskie palce, które nie tyle zapraszają, ile chcą wciągnąć mnie w głąb tej padliny. Nie wskazują mi drogi. One przypominają, że każdy krok w głąb tego hotelu to krok w głąb wszystkiego, o czym wolalbym zapomnieć przy zimnej whisky w **Point Ice**. Mój własny cień odrywa się od ścian i rusza mi na spotkanie. To jedyny stary znajomy, jakiego tu mam, bo on, w przeciwieństwie do mnie, stąd pochodzi.

Chłodny dreszcz przenika mnie na wylot. To nie kwestia temperatury. To coś osiada tam, gdzie nic już nie grzeje, tam, gdzie dawno wygasło światło. Wchodzi pod skórę, owija się wokół kręgosłupa i zaciśka. Aż do kości.

Lada recepcyjna to tylko spróchniałe, porysowane ścierwo uginające się pod ciężarem zastygłego powietrza. Na blacie spoczywa stary

dzwonek. Zakurzony relikwiarz czasów, gdy ktoś tu jeszcze na kogoś czekał. Dotykam go, ale on milczy. Jest niepotrzebny jak sumienie w tym mieście.

Obok, na ścianie, dogorywa stary zegar wahadłowy. Wskazówki, sklezione brudem i obojętnością, zastygły w jednej, wiecznej chwili. Czas podciął sobie tu żyły i wykrwawił się na amen. Dziurawy dywan, niegdyś pewnie czerwony jak świeża krew, teraz jest tylko szarą, wytartą szmatą, która straciła nawet prawo do posiadania koloru.

– Cholera – wydusza z siebie Dean.

Zerkam w jego stronę.

– Co znowu?

– Nic. Tylko się zastanawiam, czy kiedykolwiek było tu życie.

– Kiedyś. Zanim Bóg o nim zapomniał.

Dean wzdycha, patrząc na tę ruinę, jakby szukał w niej sensu.

– A teraz?

– Teraz to tylko zapomniane śmieci. Przynajmniej nie musimy się martwić o świadków.

– No, to akurat cholerna prawda... – Uśmiecha się, ale w jego oczach nie ma radości. Jest tylko suchy, cyniczny blask człowieka, który widział już zbyt wiele końców świata.

Schody. Każdy stopień niesie echo, które odbija się od ścian jak wyrok. Mimo ciemności i ciszy czuć ten dziwny opór... coś, co próbuje mnie zatrzymać, a jednocześnie pcha mnie prosto w paszczę tego miejsca. Nie wiem, co to jest. Szczerze mówiąc, boję się, że za chwilę się dowiem.

Pierwsze piętro. Widać zarysy starych drzwi, które prowadzą do pomieszczeń, pamiętających czasy, gdy ktoś tu jeszcze mieszkał, żył. Teraz to tylko puste wnętrza. Patrząc na to wszystko, mam wrażenie, że ktoś po prostu zgasił światło i odszedł, zostawiając resztę na pożarcie.

Drugie piętro. Nagle *trząsk*, jakby coś pękło głęboko w trzewiach tej ruiny, dźwięk suchy i ostateczny jak lamana kość. Rozglądam się, ale widzę tylko zgłiszcza i cienie, które bawią się w chowanego z moją latarką. Z sufitu, przez dziurę ziejącą jak rana postrzałowa, spada gala-retowata kropla. Mikstura oleju, wody i brudu. Obserwuję, jak rozpryskuje się na posadzce, tworząc mały, czarny wszechświat. Każdy mój krok zostawia ślad w tym syfie. Pył unosi się, zagęszcza w powietrzu, a ja wciągam to cholerstwo do płuc, wiedząc, że ta martwota powoli osadza się we mnie na stałe.

Na ostatnim półpiętrze koczuje kolejny mundurowy. Jego sylwetka rozmywa się w mroku, jakby on sam stawał się częścią tego hotelu. Mundur nie chroni przed tym, co tu mieszka, przed tym beznadziejnym wyczekiwaniem na chwilę słabości. Patrzę na jego twarz, na każdą zmarszczkę wyrytą przez apatię. Jego oczy to dwa wypalone ekrany, nie ma w nich nadziei, nie ma pytań. On wie, że w tym mieście odpowiedzi i tak nikogo nie ratują.

– Wejście na dach? – pytam.

– Tam. – Wskazuje ręką kierunek. – Stara szklarnia. Szklarnia na dachu tego grobowca. Świetny dowcip.

Kiwam głową bez słowa.

Docieramy do drzwi. Kieruję wzrok na metalową klamkę. Moja dłoń, mimo że niepewna, wyciąga się, ale nie od razu jej dotykam. Zatrzymuję się. To nie odruch. To coś innego, coś, czego nie potrafię wytłumaczyć.

– Będiesz się modlił do tych drzwi?

– Spieprzaj.

– Serio, wyglądasz, jakbyś zaraz miał ukłęknać i zacząć cmokać tę klamkę w oczekiwaniu na cud.

– Lepiej klęczeć, niż stać jak dureń i się gapić.

– Czyli teraz jestem durniem?

– Ty to powiedzialesz, nie ja.

– Pieprz się, Howard.

Gdy ją chwytam, chłód przenika moje palce. Dociskam. Napieram. Zawiasy odpowiadają oporem na moją siłę. Zgrzyt. Metalowe drzwi drgnęły o milimetr, a dźwięk zaczyna rezonować w powietrzu niczym paznokcie szorujące po tablicy.

– Śniadanie ci nie weszło, czy jak? – Dean parska, patrząc na moją walkę z materia.

– Zrób to sam, skoro jesteś taki cwany.

– Ledwo się trzymam, ale przynajmniej nie robię z siebie idioty.

– Ty byś ich nawet nie ruszył, gdybyś miał w ręku łaskę dynamitu.

Wdech, wydech. Przyciągam nogi i z całej siły dociskam barkiem. Zawiasy trzeszczą. Drzwi w końcu ustępują z lekkim, przeciągłym jękiem, który przypomina skowyt starego zwierzęcia, które zdało sobie sprawę, że każdy kolejny ruch tylko pogłębia ból. Wilgotny podmuch w końcu przynosi świeże powietrze, rozpraszając smród wewnątrz.

Krople bębnią w dach, pryskają na boki, nie dając chwili wytchnienia. Odgłos przypomina miliony drobnych uderzeń w te same miejsca, jak nieustający szept, który przenika przez skórę. Specjalistyczne światło lamp, zimne i surowe, ślizga się po powierzchni, odbijając się w wodnych zagłębieniach.

Technicy w tych swoich białych kombinezonach wyglądają jak stado sterylnych hien żerujących na trupie nocy. Ich zakapturzone sylwetki zlewają się z szarością mgły, a kroki, choć ciche, niosą się w tej pustce nienaturalnie glucho. Nie zważają na wodę spływającą im po twarzach i maskach. Cienie wokół nich tańczą nieśpiesznie. Każdy ich ruch zostawia plamę, która natychmiast znika pod kolejną kroplą.

Deszcz, ten bezlitosny skurwiel, zmywa ostatnie dowody z radosną obojętnością. W kałużach tonie prawda, a deszcz zaciera przeszłość

szybciej, niż oni są w stanie ją zabezpieczyć.

Na krawędzi dachu stoi szklarnia. To już nie miejsce. To skarlala narośl, pasożyt wrośnięty w ciało budynku. Wygląda jak pomnik postawiony ku czci rozkładu. Szkło to teraz matowa powierzchnia, pełna pęknięć. W niektórych miejscach cała szyba wyleciała, pozbawiając ją resztek sensu. Ta konstrukcja nie odbija światła, ona je pożera, dla-
wiąc każdy promień w swoich czarnych trzewiach. Korozja przeżarła metalowy szkielet do szpiku, zrastając się z budynkiem w jeden wielki, ropiejący strup. Spróbuj go zerwać, a cały ten pierdolnik rozpadnie ci się w rękach, odsłaniając tylko więcej ciemności.

Drzwi? Jeśli kiedyś w ogóle istniały, to teraz są tylko fantomowym bólem tego wejścia, powidokiem po świetle, który miał jeszcze jakieś zasady. Wchodzę w tę ruinę, a każdy mój krok to wyrok wydany na rozbite szkło. Chrząst pod butami brzmi jak mielenie zębów, a powietrze uderza w płuca fetorem starej ziemi i zaawansowanego gnicia. To zapach zapomnianych krypt, w których czas zdechl i nikt nie pofatygował się, by go pochować. Roślinność, dzika i chora, wpełzła na stoły, dusząc je w uścisku, który nie ma w sobie nic z życia. Te uschnięte pnącza wyglądają jak szponiaste dłonie potępieńców, zastygłe w ostatnim, desperackim geście.

W samym sercu tego rozkładu, na ołtarzu z przegnilej ziemi, leży ona... kobieta. Twarz zastygła w wyrazistym spokoju, jakby pozwoliła sobie na chwilowy odpoczynek. Grymas na jej ustach nie jest tym, który można zobaczyć na twarzy osoby zadowolonej, ale taki, który pozostaje po czymś, czego nie da się cofnąć, nie da się naprawić.

Uśmiech jest wykrzywiony, nienaturalny, nieproszony. Wypełniony udre-
ką, która z trudem próbuje udawać beztruskę. Przypomina porce-
lanową maskę **arlekina**. Gładką, nieruchomą, z tym przymuszonym uśmiechem, który można kupić w sklepie z koszmarami albo, co gor-
sza, w **gabinecie osobliwości**.

Skóra na policzkach jest gładka, pozbawiona każdego śladu życia. Spoczywa na niej blask, ale to nie polysk zdrowia. To efekt cudzych rąk, które zadbały o każdy szczegół. Włosy, czarne jak atrament, nie są już miękkie, ale sztywne, splecione z resztkami liści. Przylegają do skóry, nieruchome, jakby były połączone z nią na stałe. Każde pasmo wydaje się pozbawione lekkości, zbyt nieznaczące, by ktoś chciał się nimi zająć.

Sukienka? To po prostu czarna dziura w kształcie ubrania. Materiał nie tyle ją okrywa, ile pożera, zlewając się z mrokiem tak skutecznie, że ofiara wydaje się jedynie cieniem rzuconym przez samą śmierć na ten betonowy dół.

Jednak to nie sukienka przyciąga uwagę.

Nie włosy.

Nawet nie ta chora sceneria. To pozycja.

Sztwna, nienaturalna. Ułożona starannie, niemal teatralnie, jak postać w martwym przedstawieniu. Ręce rozłożone w taki sposób, który wyklucza przypadek. Palce ma lekko rozstawione, jakby jeszcze chwilę temu czegoś dotykały.

Głowa odchylona. Usta lekko uchylone. Brak w nich przestrzeni na dźwięk. Nie zdążyła krzyknąć, a może wcale tego nie chciała. Oczy są zamknięte, ale nie wyglądają na przekonane, że to już koniec. Ciało, choć martwe, zdaje się czekać. Na coś, czego nie będzie. Na moment, który już minął. Albo nigdy nie istniał. Zamrożone w swojej ostatniej chwili. Uwięzione w pamięci śmierci. Widziałem już sporo. Za dużo, by jeszcze wierzyć w jakikolwiek porządek tego świata. Ciała porzucone, zostawione w pośpiechu, zapomniane. Niektóre z nich rozczłonkowane, inne brutalnie zbezczeszczone, pozbawione wszystkiego, co mogłoby je kiedyś określać. Żadne z nich nie zachowało resztek godności. Śmierć jest brudna, chaotyczna. To coś, co nie daje się okiełznać. Jest jak burza, której nie sposób przewidzieć ani kontrolować.

Tylko że tu... w tej scenie coś nie pozwala mi spokojnie oddychać. To nie jest zbrodnia, to manifest. Coś, co nie ma w sobie przypadkowości ani zawirowania. Jest jak pokaz siły jak wyraz czyjejs władzy. Brakuje tu chaosu. Brakuje *tego* pośpiechu, który towarzyszy zwyklemu morderstwu. Jest tylko chłodna kalkulacja, gdzie każda czynność ma swoje miejsce i cel. I to milczenie, które wręcz wrzeszczy. Pochłania dźwięk, każdą emocję, tłumiąc wszystko wokół. Jakikolwiek szcegół, każda linia ciała, kąt, w którym leży, mówi o zdominowaniu.

To przestało być ciałem. Stało się elementem większego planu. Eksponatem, uwieczonym w szklanej witrynie. Jest *dziełem sztuki*, które bezlitośnie obnaża prawdę, zmuszając nas do zrozumienia czegoś, czego jeszcze nie potrafimy nazwać.

Co to jest? Tego jeszcze nie wiem. To wiadomość, zaszyfrowana na martwej tkance, której nie wolno zignorować. Kobieta stała się nośnikiem, a śmierć zaledwie jednym z puzzli w układance, którą ktoś celowo rzucił nam pod nogi.

Nagle *klik*. Błysk flesza przecina ciemność, chwilowo wypełniając pomieszczenie blaskiem, a przez tę krótką chwilę wszystko staje się wyraźniejsze, bardziej rzeczywiste. Świat zostaje zalany białą pustką, tylko po to, by po chwili wrócić do swojego naturalnego stanu: *szarości, brudu i tej dusznej atmosfery*.

Kryminalistyk wkracza w swoje rytmy, porusza się szybkim, pewnym krokiem. Ręce działają na autopilocie, nie ma zaskoczenia, nie ma niepokoju. To jest praca, którą wykonuje codziennie. Każdy detal musi zostać uchwycony, każdy moment musi zostać zatrzymany na zdjęciu. *Klik*. I kolejny błysk. Na moment wszystko nabiera ostrości. Ciemna otchłań odsłania rąbek swojej tajemnicy, zaprasza, by poznać coś, czego nie powinno się nigdy zobaczyć. Zanim zdążę się oswoić, znów nadchodzi półmrok, wszystko znika w cieniu, a pytania pozostają bez odpowiedzi.

– Elegancko to wygląda – rzuca Parker. Ten facet ma empatię zarzewiałej puszkę po konserwach. Elegancja to ostatnie, co przychodzi mi na myśl.

– Mamy coś? – pytam.

Parker przesuwając językiem po zębach, wzdycha.

– Na razie? Nic konkretnego.

Czeka na kolejne pytanie, więc je zadaje.

– Tożsamość ustalona?

– Jeszcze nie. Nie miała przy sobie dokumentów ani telefonu.

– A miała cokolwiek?

– Kartę...

– Kredytową? – pytanie wychodzi automatycznie.

Kręci głową.

– Chyba do tarota. Trzymała ją w ręku.

Patrzy na mnie, czekając, aż coś powiem. Tylko że nic nie przychodzi mi do głowy.

– Co dokładnie?

– Coś z zegarem. Nie znam się na tym.

Coś mi zaczyna zgrzytać, jak mechanizm, który odmówił dalszej współpracy. Tarot to wróżby, mistyka, fatum. A to miejsce jest zupełnie inne. Tu nie ma miejsca na metafizykę ani sny.

– Kto ją znalazł?

Parker odkłada aparat, mierzy mnie spojrzeniem.

– Oficjalnie? Nikt.

Marszcząc czoło.

– Nikt?

– Ktoś zadzwonił na numer alarmowy, podał adres i powiedział, że zostawił ciało. Potem się rozłączył.

– *Zostawił?* – powtarzam wolno. – Jak paczkę?

– Tak podano w zgłoszeniu.

- Kto miałby tu przychodzić? Bezdomni? Złomiarze?
- W taką pogodę? Wątpię – odpowiada.
- Numer da się wysledzić w systemie?
- Wszystko jest w rejestrze.

Zaciskam szczękę. Ten, kto dzwonił, nie natknął się na ciało. On je tu przyniósł, a potem wyreżyserował cały ten chory spektakl.

– Jakież ślady? Odciski? Cokolwiek?

– Nic, co by nam pomogło. Żadnych oczywistych tropów. Ktoś po sobie posprzątał. Jeżeli chodzi o kartę, to będzie do waszej dyspozycji po południu, a nawet i szybciej.

Wracam wzrokiem do ofiary. To nie jest zwykła martwa twarz. To magnes, który wciąga mnie w głąb jej udreki. Przelykam ślinę, ale to nie pomaga. Gęstniejąca w gardle gula dusi mnie tak samo, jak ten wymuszony, porcelanowy uśmiech, który zdaje się drwić ze mnie.

Do szklarni wchodzi Mercer. Jej obecność jest jak fałszywy akord uderzony w samym środku **Eroiki Beethovena**, jakby heroiczny marsz nagle zamienił się w piskliwy, drwiący dźwięk.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom Mercer nie ma na sobie klasycznego, profesjonalnego stroju, który pasowałby do kogoś, kto zawodowo grzebie w cudzych nieszczęściach. Dziś wystąpiła w jasnej, zdecydowanie zbyt jasnej, sukience w kwiaty. Te pstrokate, wrzaskliwe kolory tną mrok szklarni jak zardzewiałe ostrze. To wzór, który pasuje do nadmorskiego kurortu, do słońca, którego nie widzieliśmy od kilku dni, a nie do tego cmentarza roślin i wilgotnego smrodu degeneracji. Mercer wygląda jak kolorowy defekt na czarno-białym zdjęciu z kostnicy. Ten widok nie przynosi nadziei, on tylko bardziej uwypukla totalny bezsens wszystkiego, w czym tkwimy po uszy.

Patrząc na nią, nigdy bym nie zgadł, że ta kobieta jest specjalistką od katalogowania zwłok. Ma w tym doświadczenie, owszem, ale jej strój krzyczy, że na chwilę zapomniała, w jakim bagnie przyszło nam

żyć. Do tego te włosy. Miedziana, rozczochrana szopa upięta byle jak, jakby przed chwilą wypadła z łóżka. Coś w tym wszystkim sprawia, że jej wygląd wydaje się maską, którą założyła, by ukryć swój prawdziwy stan. Gdy wchodzi, nie patrzy na ciało z typową obojętnością. Jej oczy są przesadnie szeroko otwarte. Stara się nie przeoczyć żadnego szczegółu. Mimo że zachowuje spokój, coś w jej postawie zdradza zmęczenie. Jej ramiona są lekko opuszczone, kroki powolne. W końcu laskawie zauważa naszą obecność, a jej wzrok mówi wyraźnie: *ny też tutaj? Jaka szkoda, że jeszcze nie leżycie obok niej.*

– Przepraszam was, jestem dziś wyjątkowo rozkojarzona. Najpierw skończyła mi się kawa, a potem przez pięć minut szukałam kluczy, które miałam w kieszeni.

Pauza, krótka i wymowna, podsuwa myśl, że jej słowa nie mają związku z tym, gdzie jesteśmy i co właśnie robimy. Głos ma techniczny, rutynowy, ale jej twarz mówi, że nie jest tu w pełni obecna.

Wzdycham, niby przypadkiem, ale Dean i tak obraca głowę. Nie rozumiem jednego: *jak ktoś taki może zajmować się zwłokami?* Czy ona ma jakieś poczucie wagi sytuacji? Czy to tylko moja frustracja? Ostatecznie to nie ma żadnego znaczenia, ale... coś w tym wszystkim mnie drażni. To chyba jej sposób bycia. Wszystko, co tu się dzieje, nie robi na niej żadnego wrażenia. Martwe ciała traktuje jak coś obcego, niewartego uwagi.

Dean, który nigdy nie potrafi usiedzieć spokojnie, wskazuje na nią palcem, a w jego głosie słychać już tę ironię, którą z siebie wydusza.

– I to ona ma ustalić, co się tu wydarzyło?

– No tak, bo pan Howard Laamesth'on i pan Dean Harlow zawsze zaczynają dzień od bycia chodzącymi ideałami – odgryza się Mercer, nawet na nas nie patrząc.

– Dla niej to już bez znaczenia – mówi Dean.

– Dlaczego?

– Bo to jej ostatnia noc.

– Mówisz to tak, jakbyś już ją sprzedał. Może w takim razie powinienam wprowadzić do swojej oferty zwłoki na wynos?

– Niezły biznes – rzuca z ironią.

Słucham tego festiwalu żenady i czuję, jak pulsuje mi skroń.

– A może skupcie się na tej, której naprawdę nie przeszkadza nasza obecność? – podsumowuję ostro, patrząc na nich oboje.

Mercer patrzy na nas z obojętnością godną kogoś, kto od lat jada śniadanie w towarzystwie otwartych klatek piersiowych. Mruczy coś pod nosem, cicho, niewyraźnie. Z początku myślę, że to przekleństwa rzucone pod naszym adresem, ale w jej słowach nie ma nienawiści. To szept beznamiętny i suchy jak szelest starego pergaminu. Zanim zdążę zapytać, mówi dalej:

– Dobrze, spójrzmy na naszą ofiarę – rzuca, jakby zapraszała nas do obejrzenia pękniętej rury w piwnicy.

Zaczyna naciągać lateksowe rękawiczki. Guma skrzypi złośliwie, rozrywając martwą szklarni. Każdy jej ruch jest tak powolny, wyprany z jakiegokolwiek napięcia. Mercer nie czuje ciężaru tej chwili, bo dla niej śmierć to tylko kolejna biurokratyczna przeszkoda w drodze do domu. Kuca obok ciała, a ja widzę w jej oczach czystą, krystaliczną apatię. Jednym, niemal brutalnym w swojej niedbalości ruchem odgarnia mokre włosy z twarzy dziewczyny. Jej palce suną po zimnej skórze szyi i nadgarstków z nudną pewnością siebie. Nie szuka życia... szuka jedynie potwierdzenia, że rozkład postępuje zgodnie z harmonogramem. Krzywi się na chwilę, ale to tylko lekki grymas, przypomina bardziej odruch niż reakcję na coś naprawdę nieprzyjemnego.

– Co ją zabiło? – wyduszam z siebie.

Wzdycha. Unosi brwi i patrzy na mnie, jakby tłumaczyła dziecku, że świat jest niesprawiedliwy. Celebryje to milczenie, karmiąc się moją narastającą irytacją.

– Nie wiem – odpowiada w końcu.

Może powinna spytać kart tarota, skoro już jesteśmy w klimacie.

– A można konkretniej? – warczę.

– Eh... Jeśli coś tu jest, nie zobaczymy tego gołym okiem.

Cudownie. Krążymy wokół tego samego.

– Czyli zabieracie ją na sekcję? – pytam, choć to pytanie retoryczne, puste jak obietnice ratusza.

– Nie ma innej opcji. Trzeba to sprawdzić dokładniej. Na razie nie mam pojęcia, co wam powiedzieć. Zgadywać też nie chcę.

Nie mam pojęcia... Smakuję te słowa w myślach. To nie jest tylko przyznanie się do niewiedzy. Bardziej odsunięcie problemu na później. Obserwuję Mercer, próbując wyczytać z niej cokolwiek. Tylko że nic tam nie ma. Tylko rutyna, ale może tak właśnie powinno być? Może przychodzi ten moment, kiedy albo się oddzielasz, albo zaczynasz śnić o tych twarzach po nocach. Jak ja...

– Cierpliwość nie jest twoją mocną stroną, co? – rzuca Dean, przeciągając się jak znudzony kot.

Mercer nie reaguje. Wciąga powietrze nosem, marszczy brwi. Coś w jej wyrazie twarzy się zmienia.

– Czujecie to? – jej głos jest cichy, ale pełen napięcia.

Patrzę na nią, nie do końca wiedząc, o co jej chodzi.

– Co?

Bierze kolejny wdech, smakując powietrze, próbując wyłowić z niego coś konkretnego.

– Słodki zapach... ale w ten zły sposób. Jak przejrzale owoce. Zepsuty miód. Coś, co kiedyś pachniało dobrze, ale teraz... gnije.

To zapach kłamstwa. Tak właśnie pachnie inscenizacja, kiedy usiłuje udawać tragedię.

Dean przewraca oczami, po czym teatralnie wciąga powietrze.

– Nic nie czuję – po chwili dodaje. – Może tego nie widzisz, ale

wszystko tutaj jest zgniłe. Co nie Parker?

Technik kiwa głową i wraca do robienia zdjęć.

Mercer przygryza wargę. Nie wygląda na przekonaną. Palce, schowane w lateksowych rękawiczkach, zaciskają się kurczowo, jakby starała się powstrzymać od sięgnięcia po coś, czego nie powinna dotykać.

– Może mi się wydawało – mruczy w końcu, ale w jej tonie nie ma cienia pewności.

Sięgam do kieszeni, wyciągam papierosa. Stukam nim w zapalniczkę. *Pstryk*. Płomień rzuca krótką, ciepłą smugę światła. Zaciągam się mocno. Dym gryzie w płuca. Nie kaszlę. Dawno przestałem.

– Co myślisz? – pytam Deana.

Rozgląda się leniwie po szklarni. Brudne szyby, splątane rośliny, cienie wciskające się w kąty jak obecność, która na coś czeka. I ona. Leży bez ruchu jak lalka starannie ustawiona przez kogoś, komu sprawiło to chorą satysfakcję.

– Zbyt przemyślane – odzywa się w końcu. – Ktoś chciał, żebyśmy znaleźli ją dokładnie w takim stanie.

– Tylko po co?

Dean ponownie spogląda w stronę ofiary, na jej rękę odchyloną jak w teatralnym geście.

– To wszystko jest... popieprzone – mówi cicho, z lekką niepewnością. – Wygląda na starannie zaplanowaną ekspozycję, a nie miejsce zbrodni.

Czuję, jak papieros parzy mnie w palcach. Strzepuję popiół, wypuszczam dym. Unosi się, rozmywa w półmroku.

– Myślisz, że to przedstawienie? – dopytuję.

Dean nie odrywa wzroku od ciała.

– Nikt tak nie umiera.

Ma rację. Śmierć to zazwyczaj belkot, krew i gówno, a nie symetria i estetyka. Ta poza, ta kompozycja... to jest chore. Czuję, jak kark mi

sztynwieje. Ten instynktowny sygnał, że właśnie wdepnęliśmy w coś, co nas przerośnie.

– Bez dwóch zdań – przyznaje, gasząc peta butem. – Ale na razie mamy więcej pytań niż odpowiedzi.

– Zbieramy się?

Nie protestuję. Nic tu nie gra. A jednak... ktoś to zaplanował.

Odwracamy się i ruszamy, a z każdym następnym krokiem szkło coraz głośniej zgrzyta pod butami.

Ponownie znajdujemy się w tym przeklętym hotelu. Gdzieś w połowie drogi coś słyszę. Zatrzymuję się na ułamek sekundy, nasłuchując dalszego planu. Wiatr? Szczur? A może coś innego? Dean nie reaguje. Może nie słyszał. Może nie chce słyszeć.

Idziemy dalej, mijając kolejne korytarze. Światło latarki nie nadąża. Rozlewa się po ścianach, po czym niknie w ciemności. Drzwi pokoi są zamknięte. Na ich powierzchni widać niezliczone ślady dłoni. Smugi kurzu, zarysowane dotykiem. Kiedyś ktoś je otwierał, ale teraz już nikt nie chce o nich pamiętać.

Idę pierwszy. Jeszcze chwila. Kilka sekund. Wreszcie odetchnę powietrzem, które nie śmierdzi stęchlizną i rozkładem. W holu zwalniam, wtedy kątem oka dostrzegam coś... Zegar. Ten, który wisiał tu, kiedy wchodziliśmy. Stary, przy recepcji. Dalej wisi, ale... wskazówki tym razem są ustawione na **2:07**. To coś znajomego, choć nie potrafię tego nazwać. To jak echo czegoś, co wydarzyło się dawno temu, ale wciąż nie pozwala o sobie zapomnieć.

– Howard? – głos Deana wrywa mnie z zamyślenia.

Mrugam.

– Co?

– Co jest? – Dean staje obok, nawet nie patrząc na zegar. – Stoisz tu i gapisz się w ścianę, jakbyś dostał udaru.

Nie komentuje. Wzruszam ramionami.

Wychodzimy. Drzwi zamykają się za nami cichym trzaskiem. Na moment zamykam oczy. Wciągam powietrze. Mimo oczekiwań to nie zmywa obrazu, który wciąż mam przed oczyma. W głowie kręci się ta scena: *ciało w szklarni, ręce ustawione jak rekwizyt, gotowe do odegrania swojej roli*. Wszystko zaplanowane, scenografia przygotowana. Teraz tylko czekać na sygnał. Powinienem już zacząć klaskać?

Wypuszczam dymiący oddech.

– Potrzebuję kawy – stwierdzam.

– Myślałem, że karmisz się cynizmem i złymi decyzjami – rzuca to z ironicznym uśmiechem, ale w jego głosie slychać zmęczenie.

– Tak. Do północy. Teraz potrzebuję kofeiny.

Strząsam krople z płaszcza. Dean idzie za mną.

– Myślisz, że coś znajdziemy o tej porze? – pyta.

– Może. W najgorszym razie zostaje stacja benzynowa.

– Świetnie. Paliwo rakietowe w plastikowym kubku.

Kofeina to jeden z moich olejów napędowych. Nie piję kawy dla jej gorzkiego smaku. Piję ją, żeby nakarmić silnik, który ledwo dycha pod żebrami, tylko po to, by przepchnąć ten *złom* przez kolejną noc, oszukać czas. Bo u mnie *jutro* zawsze nadchodzi zbyt wcześnie, zawsze smakując tak samo, jak *dzisiaj*.

Odwracam się do niego.

– Wolisz zostać i pić deszczówkę z dachu? – warczę na niego.

– Masz rację, te pomyje brzmią jak luksus.

Miasto patrzy we mnie tymi swoimi czarnymi ślepiami niczym cyklop. Nie ma w nim współczucia, jest tylko jedna szklana źrenica, która czeka, aż mrugnę pierwszy.

– Od trzech dni dzień omija to miasto szerokim łukiem – mówię.

– Mrok wszystko spowalnia. Ludzie zamykają sklepy wcześniej, inni siedzą w swoich czterech ścianach. Tylko stacje benzynowe udają, że nic się nie zmieniło.

– Boją się tak samo, ale ktoś musi sprzedawać to cholerne *palivo*.

Siadamy w samochodzie. Silnik budzi się do życia. Wypełnia mrok monotonnym pomrukiem, który staje się tłem dla ciszy między nami.

Odjeżdżamy, zostawiając za sobą zniszczoną sylwetkę hotelu oraz puste okna, które teraz przypominają setki martwych oczu. Stary parking, zarośnięty chwastami, które walczą o ostatni centymetr kruszącego się betonu, powoli niknie w skondensowanej mgłę.

Gdy po raz ostatni spoglądam w lusterko, martwy szkielet **Crumenatic Rebuss** migocze w czerwieni światel stopu. Półmrok wylewający się z wnętrza budynku nie zostaje jednak w tyle... Zdaje się pełznąć za nami po szosie, jakby to miejsce nie było już tylko budowlą, lecz głodnym organizmem, który właśnie wypuścił nas ze swoich łap tylko po to, by rozpocząć **polowanie na czarownice**.

Przez ułamek sekundy widzę w jednym z okien na piętrze, tam, gdzie nie powinno być już nikogo, bladą, nienaturalnie długą dłoń.

Unosi się powoli, z namaszczeniem, jakby znała wagę gestu lepiej niż my jego konsekwencje. Palce są zbyt cienkie, zbyt spokojne, nie należą do ciała, które wciąż podlega prawom ciepła i krwi.

W tym krótkim ruchu jest coś obrzędowego, jak znak dany tym, którzy zostali już wybrani. Powietrze twardnieje, a milczenie zapada tak głęboko, że aż bolą uszy.

To nie jest ostrzeżenie.

To błogosławieństwo naszej drogi do piekła.

Drogi bez powrotu.



Echo wśród Arkanów

Miasto w zawieszeniu, między snem a śmiercią. Neony pulsują jak powolne uderzenia serca, rozmyte przez wodne zawirowania. Kolorowe światła odbijają się w kałużach, migoczą, drżą w rytmie mijających samochodów. Kilka sylwetek przemyka pod parasolami. Ostatnie nocne autobusy toczą się ospale, polykane przez głębię czerni. Okna odbijają twarze ludzi, którzy nie śpią, nie odpoczywają, tylko przemieszczają się bez celu.

Mijamy zamknięte bary, z oknami przybrudzonymi kurzem, gdzie plastikowe krzesła wciąż stoją nieruchomo po ostatnich bywalcach. Przygaszone witryny sklepów z niedbale przyklejonymi kartkami z napisem *zamknięte*. Jedne tylko na noc, inne na zawsze. Punkty usługowe, których nikt już nie potrzebuje. Wypłowiałe godziny otwarcia zapisane na taśmach, których klej dawno stracił siłę. Niektóre z tych miejsc są martwe od dawna, ale wciąż mają nadzieję, że ktoś do nich jeszcze wróci.

Dean w milczeniu bębni palcami o kolano. Równomiernie, mechanicznie. W głośnikach radio szepcze coś o nadchodzącym arktycznym froncie, ale przecież zimno już tu jest.

– Nic tu nie ma.

– Może coś znajdziemy dalej? – rzucam.

– Ostatnia stacja wyglądała, jakby ją zamknęli razem z końcem świata. – Dean przeciera twarz dłonią. – **Banner** jest za rogiem.

Patrzę na niego z powątpiewaniem.

– Serio? **Banner**? Tam jeszcze coś działa?

– Chyba że masz lepszy pomysł?

Nie mam.

Zjeżdżam na poboczne, gaszę silnik. Przez chwilę siedzę bez ruchu, ręka nadal na kluczyku, palce spięte.

Wdech, wydech.

Dean pierwszy otwiera drzwi. Chłód przenika do środka, wciskając

się w zakamarki ubrań, zderzając się z resztkami ciepła, które nagromadziło się w aucie. Mruczy coś pod nosem. Nie jestem w stanie stwierdzić, czy to przekleństwo, czy tylko westchnienie zmęczenia.

Wychodzę za nim na ten zaduch. Pogoda na zewnątrz tylko udaje, że odpuszcza. Teraz po prostu zmienia taktykę, zamieniając powietrze w mokrą szmatę, którą ktoś wciska mi do gardła. Ulica wydaje się pusta, ale to też złudzenie. Gdzieś w oddali echo kroków, szum silnika. Podmuch wiatru uderza nagle, szarpie ulotkami przyklejonymi do tablicy ogłoszeń. Fruną jak wyrwane strony z dawno zamkniętej historii. Wirują przez krótki moment, zanim opadną na ziemię, rozmoczone, bezwartościowe.

Podnoszę głowę. **Great Ten Banner.** Nazwa tak samo pretensjonalna, jak cała ta dzielnica, która od trzech dni udaje, że brak słońca to tylko przejściowa awaria, a nie wyrok. Światło szyldu drży w ciemności, błękitny poblask rozlewa się po chodniku, koślawiąc cienie. Nie muszę widzieć reszty. Wiem, gdzie jesteśmy.

Drzwi otwierają się z lekkim oporem, zawiasy wydają się zbyt zmęczone, by działać bez protestu. Mały dzwoneczek brzęczy krótko jak system alarmowy w kostnicy. Ciepło otula nas od razu. Lepka fala, która przykleja się do skóry. Pachnie jedzeniem, ale nie tym świeżym. To zapach tłuszczu wchłoniętego w ściany, przypalonej kawy, której zapach kojarzy się bardziej z warsztatem samochodowym niż z kuchnią. Coś jeszcze. Nuta trudna do uchwycenia, niemal niepokojąca. Pleśń? Nie jestem pewny, czy chcę znać prawdę. Z głośników wycieka coś, co udaje muzykę. To nie jest jazz. To dźwięk rozpadającej się nadziei puszczonej w pętlę.

Za ladą stoi kelnerka. Wygląda, jakby ktoś ją tu postawił dziesięć lat temu i zapomniał wyłączyć. Opiera się o blat tak sztywno, jakby jej kręgosłup już dawno zamienił się w zardzewiały pręt. Twarz ma kolor i fakturę tynku w publicznym szalecie. Lakier na paznokciach jest od

dawna odprysnięty, a fartuch dawno już przestał być śnieżnobiały. Gapi się gdzieś w przestrzeń, ignorując nas z taką pasją, że niemal czuć jej pogardę do wszystkiego, co jeszcze ma tętno. Patrzę na zegar. **5:11**. Sekundnik drga, bije głową w mur, próbuje przeskoczyć na **5:12** i przegrywa tę walkę co każdą sekundę, jakby czas, podobnie jak krew w jej żyłach, całkowicie zakrzepł.

Głęboko w trzewiach lokalu, gdzie światło jarzeniówek ledwo dociera, ktoś siedzi pochylony. Dłonie oplatają kubek jak ostatnią kotwicę, trzymając się resztek ciepła. W kącie, przy oknie zasłoniętym brudem, tkwi para. Nie dotykają się, ich wzrok mija się gdzieś w pustce. Milczenie, zbite jak olej z tego lokalu, dawno temu zastąpiło słowa. Ona gapi się w szybę, jakby szukała tam świata, którego już nie ma. On w skupieniu skubie krawędź butelki kciukiem, jakby to mogło cokolwiek zmienić. Dziadek przy ladzie pochyla się nad talerzem. Je powoli, liczy każdy kęs. Nie ze skąpstwa, raczej z ostrożności, kto nie jest pewien, czy to nie jego ostatni posiłek. Twarz poorana zmarszczkami, dłonie drżące, ale uparte. Raz po raz oblizuje wargi, starając się zatrzymać smak na dłużej. Dwa stoliki dalej siedzi trowiec. Telefon trzyma go w miejscu lepiej niż hamulec ręczny. Twarz ma martwą od ekranu, dłoń skostniała na kubku zimnej kawy. W jego oczach nie ma już nic poza asfaltem, który wyżarł mu duszę niezliczoną ilością bezsensownych mil w trasie. Nad wszystkimi wisi to samo uczucie. Zmęczenie. Brak tu pośpiechu, nie ma ekscytacji. Są tylko godziny bez końca, noc ciągnąca się w nieskończoność, jak zimna kawa, której nikt już nie chce dopić.

Krzesła skomlą pod naszym ciężarem, jakby samo zniedołężnienie, które tu przywlekliśmy, ważyło więcej niż tonę. Za barem tkwi kelner, niski, wychudzony żyłak, którego lata w tej dziurze wyżłobiły go niczym kwas w wapieniu. Skóra na jego czaszce jest napięta jak membrana na tamburynie, a rysy nie mają już nic wspólnego z młodością.

Oczy to dwie bryły lodu, w których wygasło ostatnie żywe spojrzenie. Facet działa na autopilocie, mechaniczny ochlap odliczający sekundy do końca zmiany, która prawdopodobnie trwa od dekady.

Menu to żart. Tutaj nikt niczego nie wybiera. W karcie figuruje tylko zmarnowany czas o smaku zaprzepaszczonej szansy.

– Dwie kawy – rzucam, nie czekając na powitanie. – Czarne.

Nalewa. Automat zamknięty w ludzkiej skórze. Żadnego zbędnego ruchu, żadnego: *dzień dobry*. Mam wrażenie, że gdyby przestał łąć tę czarną lurę, po prostu rozsypałby się w proch. Może on jest częścią inwentarza, przyśrubowany do podłogi razem z ekspresem?

Biorę lyk. Gorzka, palona, czarna jak ta pieprzona noc i równie nieprzyjemna.

Dean stuka palcami o ceramikę, wybijając rytm niepokoju.

– To coś więcej niż zwykle morderstwo – mruczy.

Mrużę oczy, pozwalając goryczy osiąść na języku.

– Każde morderstwo to tylko morderstwo. Jedynie statystyka rośnie. Tyle.

– Ta wiadomość... nie podoba mi się ta karta.

– Nie musi ci się podobać.

Jednak w głowie wciąż mam tamtą szklarnię. Ten obraz nie chce spłynąć do ścieku razem z resztą porannych wspomnień.

– To było... dziwne – wykrztusza w końcu Dean.

– Wszystko jest dziwne, kiedy przyjrzyś się wystarczająco długo.

– Nie. – Kręci głową. – To jest inne.

Obracam w dłoni paczkę papierosów.

– Może.

– Może? Cholera, Howard! – Wybucho, a jego głos tnie duszne, przesiąknięte tłuszczem powietrze baru jak zardzewiała pila. – Karta tarota przy zwłokach ułożonych jak na oltarzu, a ty mi tu serwujesz swoje *może?*

Wyciągam ostatniego papierosa. *Pstryk*. Płomień zapalniczki tańczy w półmroku jak ognisko na pogrzebie. Zaciągam się głęboko, czując, jak toksyczny dym wypełnia płuca, oferując tę nędzną namiastkę ukojenia. Wypuszczam go powoli. Szare smugi rozlewają się wokół nas, tworząc barierę między nami a tym beznadziejnym lokalem. To już nie jest nalóg. To awaryjny system podtrzymywania złudzeń.

– Może to nic. Może to manifest jakiegoś psychopaty, który naczytał się bzdur – słowa smakują gorzej niż ta kawa. – Skąd, do cholery, mam wiedzieć, czy to symbol, czy tylko ktoś bawi się naszym kosztem, Dean? W tym mieście prawda to towar deficytowy, a my nawet nie mamy drobnych.

Zaciągam się ostatni raz, tak głęboko, że czuję, jak żar wypala mi resztki instynktu samozachowawczego. Próbuje zatopić w tym papierosie wszystkie wątpliwości, jakby ten kawałek zwiniętego tytoniu był jedyną rzeczą, która powstrzymuje mnie przed rozpadem. Wątpliwości jednak nie znikają, one po prostu zwęgłają się we mnie, zostawiając w środku jałową, czarną dziurę. W świetle dogasającego żaru moje dłonie wyglądają jak u nieboszczyka, a popiół opadający na podłogę przypomina zmielone kości tych wszystkich pechowców, którzy zostali tu na zawsze.

– Komisariat? – pyta Dean. Głos ma płaski, retoryczny, jakby odczytywał wyrok, który zapadł dawno temu.

Zamiast odpowiedzi kiwam tylko głową.

Wciągam ręce głębiej w płaszcz, próbując otulić ciało przed zimnem przenikającym do kości. Chłodne, dłużące się godziny nie sprzyjają niczemu. Wiatr tylko potęguje wrażenie, że czas nie tylko zwolnił, a na zawsze utknął w tym miejscu.

Droga przed nami jest nierówna, wyżłobiona przez lata intensywnego ruchu i zapomnienia, rozciąga się jak martwy organ. Przydrożne

drzewa stoją niczym milczący strażnicy, ich gałęzie szeleszczą w rytm podmuchu wiatru, ale nic się nie rusza. Są tylko ten zgrzytający odgłos gumy o asfalt, który wydaje się jedynym świadkiem naszej podróży.

Każdy zakręt, każda nierówność na drodze to nic więcej niż echo czegoś, co zawsze tu było. Wszystko zbyt ciemne, by dostrzec jakieś szczegóły. Te same obdrapane kamienice i wymięte reklamy, które ledwo się trzymają na wiekowych ścianach, pogieęte szyldy, które powinny dawno zniknąć. Może przed laty mogłyby być jakimś symbolem, ale teraz? Teraz to tylko zmarszczki, które na stałe wpisały się w twarz tego miasta. Każda spękana ściana to zapisana trauma. Miasto nie ma już skóry, ma tylko te głębokie bruzdy, w których zbiera się brud i nasza niemoc. Papierowe śmieci pelzną po chodnikach, klejąc się do nich, zostawiając po sobie strzępy niegdyś kolorowych ogłoszeń. Deszcz, który spadł chwilę wcześniej, zmiękczył je do granic możliwości, tworząc małe kulki błota. Wdeptane, zlepione w bezkształtną masę, którą już trudno rozróżnić.

Dean mówi, wpatrzony w szybę:

- Miałem nadzieję na coś więcej, ale teraz widzę, że nie mamy nic.
- To się okaże, kiedy dowiemy się, kim jest ofiara.
- A jak się nie dowiemy?
- To będziemy mieli jeszcze mniej niż nic. Dno pod dnem.
- Powiem ci, że przynajmniej jesteś konsekwentny w pierdoleniu głupot – prycha, zerkając na mnie z tym swoim tanim cynizmem.

Zaciskam dłonie na kierownicy, aż palce zaczynają drętwieć, starając się nie dać wyprowadzić z równowagi.

- A ty w wymyślaniu teorii, które nikogo nie obchodzą.
- Tyle wystarczy, jeśli potrafisz wyciągnąć z tego coś sensownego.
- I co takiego wyciągnąłeś? – pytam.
- Wystarczy wiedzieć, gdzie patrzeć – uśmiecha się krzywo.
- No tak, bo ty zawsze wszystko widzisz, **Sherlocku**.

- Nie wszystko. Tylko to, co ma znaczenie.
- Super – rzucam. – Czyli nic.

Podjeżdżam do nocnego sklepu, który zdaje się częścią tej samej zapomnianej rzeczywistości. Silnik pulsuje głuchym rytmem, odzwierciedlając fakt, że w tym miejscu nie liczy się klasa ani szybkość, tu liczy się tylko to, czy maszyna dociągnie do kolejnego skrzyżowania, zanim ostatecznie wypluje tłoki. Bez papierosów ten dzień się rozpadnie. To fundament mojej piramidy, nie zdrowia, a przetrwania. Kiedy nie mam nic innego, co mogłoby mnie trzymać w pionie, to właśnie ten drobny gest, *zapalenie papierosa*, staje się czymś więcej niż tylko nawykiem. To chwilowa stabilność, która w tym świecie jest najbliższą jakiegokolwiek poczucia kontroli. Z każdym wstrząsem nadwrażliwości w ciele, każdą pustką, która miota się w mojej głowie, ten mały moment jest moją stabilizacją.

Wchodząc do sklepu, widzę, jak żarówki nad kasą mrugają w leniwym rytmie. Tutaj wszystko tkwi w martwym punkcie, a powietrze wypełnia zapach stęchłych paczek chipsów i taniego napoju gazowanego, którego nikt o zdrowych zmysłach nie powinien pić. Sięgam po paczkę fajek. Wiem, że to nie to, co zwykle kupuję. To jak wybór między kulą w potylicę a nożem pod żebro. Podchodzę do kasy, rzucam kilka monet. Wychodząc, resztę zgarniam bez liczenia. Kroki, ciche, odległe, odbijają się od brudnych ścian. Gina w zapomnianych korytarzach. Światło latarni na zewnątrz rzuca ledwie wystarczający blask, by cokolwiek zarysować w tej ciemności.

Kilka minut później jesteśmy pod komisariatem. Parking jest niemal pusty, jakby to miejsce zniknęło z mapy tego przeklętego miasta. Kilka radiowozów stoi samotnie. To już nie są maszyny. To skamieniałe bestie z **żelaznego lasu**, które kiedyś pilnowały granic świata, a teraz wyłącznie rdzewieją, czekając na ostateczny moment, na ostatni

zmierzch. Ich wypłowiałe emblematy są jak starte runy na grobowcach. Nikt już nie pamięta ich znaczenia, a jedyne, co w nich pozostało, to milcząca historia upadku, której nikt nie odważy się odczytać, by nie obudzić demonów przeszłości.

Światło nad progiem to ostatnia iskra na ołtarzu **Hestii**, która nie ma już siły karmić nadziei tego miasta. To puls umierającego boga porządku. Dogasa, rzucając drżące cienie na nasze twarze. Kiedy zgaśnie całkowicie, nie zostanie nam nic poza ciemnością, w której prawo silniejszego jest jedynym kodeksem, jaki przetrwał.

To miejsce nie żyje. Trzyma je tylko inercja, mechanizm, który raz uruchomiony kręci się sam, nie zwracając uwagi na zmiany wokół. Zewnętrzna powłoka budynku gnije jak coś, co traci sens istnienia. Widać tu ślady przeszłości, których nikt już nie zmyje. Pożółkłe plamy, otarcia, odpryski farby. Mury są zwiotczałe, gotowe rozsypać się na drobne kawałki. Patrząc na nie, czuję ten sam rodzaj lęku, który musiał towarzyszyć ludziom pod murem **Maria**, gdy kamień zaczął kruszeć, odsłaniając żywe oko, ukrytego w środku kolosa. To nie beton pęka. To puszcza iluzja bezpieczeństwa. Jak to miasto, które umiera na raty, powoli, z dnia na dzień. Rdzawe poręcze, powyginane kraty. Ktoś próbował się dostać do środka. Albo wyrwać. Tylko pytanie brzmi: *кто былby na tyle głupi, żeby добrowолnie tu wejść?*

Dawniej ten budynek udawał, że ma znaczenie. Dziś to tylko relikwium przeszłości, zniszczony, zapomniany jak zardzewiała brama prowadząca donikąd. Kiedyś wchodziło się tu z poczuciem, że robi się coś wielkiego. Pierwszy raz w mundurze? Duma buzowała w żyłach wraz z każdą miną mijanych ludzi. Wtedy to był symbol...

Teraz? Ten mundur to tylko kawał szmaty, która z każdą godziną staje się cięższa, nasiąka brudem i beznadzieją, aż zaczyna paraliżować ruchy. To nie tarcza, to cholerne brzemię. Wbija cię w ziemię i pilnuje, żebyś nigdy z niej nie wstał.

Spojrzenia na ulicy też się zmieniły. Nie ma w nich podziwu, tylko obojętność. Chłód oraz niechęć. Czasem pogarda, którą czujesz na plecach, zanim jeszcze zdołasz przejść obok. Gdy mijasz ludzi, jedni odwracają wzrok, nie zauważając cię. Inni patrzą, ale nie patrzą, jakbyś był im coś winien. Coś, czego nie jesteś w stanie im dać. Nieważne, ile byś się starał, to nie wystarczy. To coś, co po prostu się wie. Lepiej nie zwracać uwagi i iść dalej, nie oglądać się, nie pytać o nic. Bo kiedy staniesz, poczujesz to jeszcze mocniej.

Coś we mnie wyje, żeby uciekać, póki jeszcze odróżniam własne imię od numeru odznaki. Uciec przed tym toksycznym powietrzem, które z każdym wdechem wypala mi resztki człowieczeństwa, ale nie ucieknę. Nie mam dokąd. Wchodzę tam jak skazaniec, który sam domyka za sobą drzwi do celi. Moja wolność zakończyła się w momencie, w którym uwierzyłem, że naprawdę mogę coś zmienić.

Dotykam klamki. Jest lodowata jak serce Mercer. W środku wita mnie ta sama nędza. Ściany o nikotynowym odcieniu, z palety brudnych żółci i przygaszonych brązów, choć palenie jest od dawna zakazane. Tylko że tu, w tym miejscu, zakazy mają małe znaczenie. Każdy, kto wchodzi, już ma swoje własne prawo, które zatarło wszystko, co mogłoby je ograniczyć. Sufit wisi nad nami w grobowym milczeniu, trzyma się na miejscu tylko siłą przyzwyczajenia. Płaty farby zwisają jak zwłoki ciem, gotowe spaść na głowę w każdej sekundzie.

Praca w tym miejscu to czysty masochizm, codzienne biczowanie się świadomością własnej bezużyteczności. Powietrze jest syropowate, zaciska się na gardle jak pętla, nie dając szansy na żaden głębszy oddech. Jeśli tak wygląda ostoja sprawiedliwości, to piekło musi być naprawdę luksusowym miejscem.

Dyżurny za ladą wygląda jak zjawa. Zgarbiony, twarz nieprzyjemnie blada, jakby słońce zapomniało go ogrzać przez kilka ostatnich miesięcy. Rozczochrany, oczy podkrążone jak po trzech nieprzespanych

nocach. Patrzy, ale nie widzi. Dryfuje gdzieś między snem a realnością, nie potrafi rozróżnić, która z nich jest bardziej bolesna. Jego spojrzenie jest puste, nie oczekuje niczego. Nie zadaje pytań. Nie chce poznać odpowiedzi. To miejsce wymaga tylko milczącej akceptacji.

W tle rzeźbi ekspres do kawy. To nie jest urządzenie, to mechaniczny pacjent na oddziale intensywnej terapii, który błaga o odłączenie aparatury. Charczy, krztusi się, kaszle czarną mazią. Każda kropla to walka. Ta ciecz nie zapowiada żadnego ratunku, ona smakuje jak skumulowane rozczarowanie z całego tygodnia, przepuszczone przez brudny filtr beznadziei.

Za oknem noc nie czeka na zaproszenie. Wpełza do środka, rozgaszca się w kątach, wymazuje resztki kolorów. Zna drogę, zawsze ją znajdzie. To jej miejsce, część mroku, który nieustannie wypełnia przestrzeń, zamieniając każdą chwilę w beczasową ciemność.

Siadam przy biurku. Nie po raz pierwszy i z pewnością nie po raz ostatni. Przecieram dłonią po blacie. Kurz osiada na skórze, wciska się pod paznokcie. Wydaje się, że każda cząstka tego brudu jest tu od zawsze. Zagnieżdżyła się w strukturze miejsca. I chociaż to wszystko jest pełne zapomnienia, nigdy się nie wymazuje. Najświeższa rzecz tutaj? To właśnie ten cholerny ekspres do kawy, który i tak działa tylko wtedy, gdy ma na to ochotę.

Gdy włączam komputer, wentylatory obracają się powoli, wzdychając kurzem. Mózg maszyny mieli zera i jedyne bez najmniejszego przekonania. Dysk twardy wyje z rozpaczy, głowice szorują po talerzach, a procesor dławi się ostatnimi cyklami przy akompaniamencie piszczącego BIOS-u. To agonია krzemu. Ta maszyna wie, że to koniec, ale wciąż karmi mnie nędzną iluzją działania, zupełnie jak ten cały komisariat, jak to całe pieprzone miasto.

Czekam. Ekran miga. I nic. *Klik*. Zero reakcji. Czekam dalej, ale

cierpliwość mi się kończy. Myszka łąduje na blacie. Najpierw z impetem. Drugi raz z wściekłością. Maszyna stęka. Może po prostu nie ma już siły. Tak jak wszystko wokół. Każdy element, każda maszyna, która kiedyś działała sprawnie, teraz tylko dusi się, walcząc ze sobą. Tak jak ludzie. Tak jak te budynki. Kiedyś pełne życia, a teraz... stoją, pokryte kurzem, przeżarte przez czas i zniechęcenie. Żaden z tych mechanizmów nie ma już energii, by wstać z kolan. Mimo to nie ustępują. Wciąż się trzymają, na granicy wytrzymałości, walcząc z własną degradacją. Wszystko tutaj jest takie samo. I nigdy się nie zmienia.

Słyszę krótki, cichy śmiech. Wszystko to wydaje się jednym wielkim żartem. Nie pytam, co go tak bawi. Wiem. W końcu prostuje się, przeciera twarz dłonią, wzdycha.

– Dobra, geniuszu techniki, może jednak ci pomogę, zanim całkowicie rozpieprzysz ten złom.

Kręcę głową, sięgam po papierosa.

– Rób, co chcesz.

Pstryk. Leniwy dym unosi się i oplata znak zakazu palenia w kpiącym rytmie. Czerwona dłoń na piktogramie wyciąga się w niemym sprzeciwie, a następnie znika w szarym kłębie. To ironiczne jak bardzo mnie to nie obchodzi.

Telefon wibruje. Krótko. Dwa razy. Potem znowu. Sięgam po niego, zerkam na ekran: *Parker*. Nie czekam. Odbieram.

– Laamesth'on.

– Mam dla ciebie coś ciekawego. – Głos jest zmęczony, szorstki.

– Mów.

– Ofiara to Sinéad Worthime – mówi. – Była notowana, więc szybko ją znaleźliśmy.

Nazwisko odbija się w mojej głowie jak echo w pustym korytarzu. Znajome do bólu, lecz nie potrafię go umiejscowić. Czasem po prostu takie rzeczy wracają jak zlepek wspomnień, które się nie skleją. Jak

obrazy z własnego życia, pomyłone z cudzymi.

– I ta karta... – dodaje. – Możecie ją zabrać. Odciski są tylko jej.

Siedzę bez ruchu. Patrzę na ekran, który właśnie postanowił zgaśnąć. Dym snuje się leniwie tak jak myśli. Karta. Tylko jej odciski. Nie wiem, co gorsze, kiedy nie masz odpowiedzi, czy kiedy dostajesz odpowiedź, której nie chcesz.

– Tylko jej? Jesteś pewny?

– Sprawdziłem dokładnie. Żadnych innych śladów.

– Użyto rękawiczek?

– Nic na to nie wskazuje. Jeśli ktoś jej ją dał, musiał być ostrożny.

– To dziwne.

– Wiem. Dobra, zabierzcie kartę. Może wy coś z niej wyciągniecie.

– Jasne. Dzięki.

Połączenie się urywa.

Wciągam powietrze, z delikatną nutą kurzu i wilgoci, która ściskają w płucach. Odwracam się do partnera.

– Sinéad Worthime. Coś ci to mówi?

– A powinno?

– Jeżeli jej nie zabijeś, to nie.

– Można mi wiele zarzucić, Howard, ale koneserem sztuki to ja nie jestem. – Oparcie krzesła skrzypi pod jego ciężarem. – Co to w ogóle za nazwisko? Francja? Niemcy? Norwegia? Te klimaty?

– Dobra. Musimy sprawdzić, kim była, zamiast zgadywać.

– Więc po jaką cholere mnie pytasz? – rzuca Dean.

– Po to, żebyś przestał w końcu myśleć o kolejnym drinku.

– Super. Nie wiedziałem, Howard, że robisz tu za inspektora pracy.

– Mam z tego certyfikat. Skoro już wiesz, to bierz się do roboty.

Złom zacina się na raporcie, mieli dane. Cursor miga, zawieszony w chwili decyzji, która nie chce nadejść.

Dopiero po kilku minutach ekran w końcu się rozjaśnia. Przesuwam palcami po chropowatych klawiszach. Dźwięk stukania jest znajomy, niemal monotony, krąży w jednym, niezmiennym rytmie.

Imię i nazwisko: Sinéad Worthime

Rok i miejsce urodzenia: 5.12.1974. Irlandia, Dublin

– To jeszcze dziewczyna... Ile miała? Dwadzieścia siedem lat?

Podnoszę wzrok. Patrzę na niego jak na dziecko, które właśnie zjadło kawałek plasteliny.

– Ty chodziłeś na matematykę, czy tylko pod szkołę?

– Co?

– To, że ona miała dwadzieścia dziewięć lat. Nie siedem.

Widzę, jak trybiki w jego głowie próbują się zazębić. Kuleczka myśli w końcu odbija się od jednej ściany do drugiej i...

– Zauważyłeś może, od której jestem dziś na nogach?

– Tak, od piątku. I co, Nobla mam ci dać?

– Lepiej skup się na raporcie, zanim go napiszę ci na czole – syczy. Wracam do ekranu z uśmiechem, który sam się pisze pod nosem.

Zawód: Artystka

Wyroki: Brak

Wykroczenia: Posiadanie substancji nielegalnych

Długi skarbowe: Brak

– Już nie taka wzorowa obywatelka – mruczę.

Czuję oddech na karku. Za blisko. Próbuję nie reagować, ale z każdą sekundą wyczuwam na plecach coraz bardziej narastające napięcie. Dean zagląda mi przez ramię. Irytuje mnie to. Wpycha się, jakby miał coś do powiedzenia, ale nie mówi nic.

Zerkam na godzinę. **6:33**. Każda minuta ciągnie się jak guma. Przewijam dalej.

Adres: Unvoiced Til Street 20, Apt 7b, Los Angeles

Telefon: Brak aktywnych numerów

Zatrzymuję się na tej ostatniej informacji.

– Brak numeru – mruczę.

Dean unosi brew.

– No i?

– No i to, że nikt nie żyje dziś bez telefonu. To nie średniowiecze.

– Może zmieniła i nie zaktualizowała w systemie.

– Może – powtarzam. – Ale jeśli miała nowy, to dlaczego nie pojawił się nigdzie przez ostatnie miesiące? Żadnych rejestracji, żadnych połączeń na jej nazwisko.

Dean wpatruje się w ekran, jakby próbował wyłowić coś, co mnie całkowicie omija.

– Ktoś go usunął?

– Albo nigdy go nie było – mówię, choć sam w to nie wierzę.

Analizuję te dane, ale to wszystko wydaje się zbyt powierzchowne. Nie pasuje mi to. Każdy ma numer. Każdy. Chyba że ktoś postarał się, żeby go nie było, wymazał wszystko jak ślady na brudnej szybie.

Notatka przy aktach:

Zatrzymana podczas rutynowej kontroli. Znaleziono przy niej środki odurzające. Postępowanie zostało umorzone z uwagi na znikomą ilość i brak dowodów na zamiar handlu

– Nic szczególnego – stwierdzam.

Marszczy brwi, widać, że nie zgadza się z moją oceną sytuacji.

– Samotna malarka? Nie brzmi jak ktoś, kto kończy w szklarni, jak jakaś lalka z kartą w dłoni.

Patrzę na zdjęcie z dowodu. Długie ciemne włosy, szczeka lekko wysunięta, ostre spojrzenie. Sinéad. Zbyt pewna siebie, jej wzrok łamie wszystko, co staje na jej drodze. Widzę ją, a ona widzi mnie. Biała twarz na tle szarych linii, które od razu zaczynają zlewać się z tłem.

Klik. Strony ładują się z prędkością konającego zółwia. Ociągają się z ujawnieniem czegokolwiek istotnego. Kilka durnych wystaw. Większość to niszowy syf, cuchnący na kilometr pretensjonalnością i tą desperacką próbą nadania znaczenia czemuś, co nie ma żadnej trwałej wartości. Sztuka w świecie, który zdycha z głodu, to tylko kolejna forma artystycznej nekrofilii.

– Nie miała z czego żyć – stwierdzam cicho.

– Może dlatego coś poszło nie tak? – mówi, nie patrząc na mnie.

Wydział budzi się do życia, co oznacza, że trupy zaczynają się ruszać. Kawa, monitory, kroki, dym papierosowy wijący się leniwie nad głowami. Zamiast myśli, to zapach staje się dominującym elementem, niedającym miejsca na nic więcej. Ktoś ziewa, ktoś klnie na kolejny obowiązkowy formularz. Dzień jak co dzień, poranny chaos, który odgrywa się według tej samej choreografii beznadziei. Ktoś otwiera okno, a powietrze wślizguje się do środka. Niemal czuję, jak zalewa moje płuca. Noc zmienia się w dzień, ale tylko z nazwy.

Senność wgryza się głębiej. Czuję ją w każdej zmarszczce, w każdym skurczu karku. To już nie jest apatia, to stan permanentny. Moje ciało skapitulowało, poddało się codziennej walce o normalność.

Cień sunie między biurkami, rzucając pytanie:

– Już od świtu na nogach?

Podnoszę brwi, nie podnosząc wzroku.

– Jeśli tak wygląda świt w twoim świecie, to ja wolę zostać w nocy.

Mężczyzna parska śmiechem, który brzmi jak suchy kaszel, i znika za rogiem. Gdzieś w tle telefon brzęczy, ignorowany przez wszystkich. Po co odbierać? I tak dzwoni tylko zło, nieszczęście albo ratusz. Stukot klawiatur miesza się z rozmowami o tym, kto ma dyżur w sądzie, kto zawałił raport, pierdoły, które nie mają żadnego znaczenia. Nie wiem, co jest bardziej męczące. Cisza, która tu panuje, czy ten nędzny hałas udający życie.

Stos papierów na moim biurku to nic więcej jak tykająca bomba biurokracji. Każdy dokument to potencjalny wybuch, który lada moment rozpieprzy mi resztki zdrowia psychicznego.

Dean wraca z kubkiem kawy w dłoni.

– A dla mnie? – pytam, choć dobrze wiem, że odpowiedź mnie nie zaskoczy.

– Widzisz gdzieś tutaj pieprzony biały fartuch? – Wskazuje ręką na swoje ubranie, jakby był modelem na pokazie mody dla bezdomnych.

Wzruszam ramionami. Szkoda strzępić ryja.

Leniwie opada na krzesło, a jego sprawiają wrażenie opóźnionych. Gapi się w okno, szukając porządku tam, gdzie go nie ma, czyli w ten zalany deszczem burdelu, który udaje miasto. Otwiera usta.

– No dobra. Co mamy?

Przeciągam się. Zmęczenie wbija mi się w kręgosłup jak rdzawy gwóźdź. Wciągam powietrze, wiedząc, że ból fizyczny to jedyne, co jest tu konkretne.

– Martwa artystka. Brak świadków. Brak motywu.

Dean unosi brew, pociąga łyk kawy. Niemal słyszę, jak ścisza kubek. Dźwięk tej czynności staje się niepokojąco głośny.

– Brzmi jak ślepy zaulek. Poza tym, że nie miała z czego żyć.

– Oficjalnie tak – odpowiadam, choć to tylko kolejna półprawda, którą karmimy system, żeby przestał rzeźnić.

Dean siorbie głośno, jakby chciał wydusić z tej kawy resztki sensu,

którego w niej nie ma. Patrzę na niego w milczeniu. Ignoruje mnie, celebrując każdą kroplę tej lury. W końcu wzdycha i odstawia kubek na blat z cichym stęknieniem, które nie pasuje do jego postawy.

– No co? – rzuca, czując mój wzrok na karku.

– Masz jeszcze język, czy już ci się rozpuścił w tej czarnej brei?

Prycha. Wraca do porannej benzyny, ale tym razem pije normalnie.

Kilka minut później drzwi ustępują, a w progu staje kobieta z teczką. Jej wejście jest jak rozkaz, precyzyjne, pewne. Zastyga na moment, skanując to wysypisko, które nazywamy miejscem pracy. To moment, w którym wszystko na chwilę zastyga. Jej obecność nie jest po prostu zauważalna. Ona niejako dominuje przestrzeń, wypełniając pomieszczenie siłą, z którą się nie negocjuje, tylko jej ulega.

Codziennie ktoś wchodzi i wychodzi z tego komisariatu, ale ona... W czymś tkwi różnica. Jest jak ucieleśnienie nieuniknionego, które stanęło w progu, by przypomnieć mi, że każda zbrodnia ma swój cień, a każdy dług zostanie ściągnięty. To nie jest tylko obecność, to wyrok wydany przez samą jej postawę. Nieugiętą, pionową kreskę w świecie, który dawno stracił kręgosłup.

Strój prosty, elegancki, stonowany. Bardziej to cień niż ubranie. Czerni jest głęboka i absolutna, pochłania światło, nie odbija go. Dopasowany płaszcz o minimalistycznym kroju, opina ramiona i sięga do połowy łydek. Brak guzików czy widocznych zapięć, jakby był czymś naturalnym, częścią jej sylwetki. Pod spodem ciemna koszula z wysokim kołnierzem, idealnie gładka, bez śladów zagniecia. Jest spięta na mankietach niemal niewidocznymi spinkami. Spodnie w kant, wąskie, ale nie obcisłe, opadają prosto na eleganckie buty, niskie, matowe, bez żadnych ozdób. Jest jedną z tych osób, które przyciągają uwagę, mimo że wcale tego nie próbują robić. Jej wzrok zdaje się gardzić wszystkim, co nas otacza.

Zgiełk rozmów, dźwięki telefonów czy ciche *klikanie* w klawiaturę... Cała ta codzienna dawka dźwięków nie ma teraz znaczenia. Nie widzę i nie słyszę niczego oprócz niej.

Podchodzi do dyżurnego, który wciąż mieli ozorem przez telefon. Rzuca kilka słów, a ten ludzki wrak, nie przerywając rozmowy, pokornie kiwa łbem. Wskazuje palcem prosto na mnie jak oskarżyciel na skazańca.

– Laamesth'on? Tam siedzi.

Kobieta nie marnuje śliny. Czysta ekonomia słów, jakby każda sylaba kosztowała fortunę. Dźwięk jej kroków na twardym linoleum to miarowe uderzenia młota wbitego w moją czaszkę. To ciężar góry lodowej, która płynie prosto na mój przeżarty rdzą kadłub. Przechodzi przez salę, ściskając teczkę i zatrzymuje się przy moim biurku. Napięcie zagęszcza się tak bardzo, że niemal czuję jego smak w ustach. Zapach kłopotów, których nie da się spuścić w kiblu.

– Detektyw Howard Laamesth'on?

Bez słowa unoszę głowę, patrzę na nią przez chwilę, starając się wyczytać coś z jej spojrzenia. Cokolwiek, co pozwoliłoby zrozumieć, kim naprawdę jest. Jednak jej twarz nie zdradza niczego. Ani surowości, ani ciepła. Ani strachu, ani zainteresowania. To nie jest oblicze człowieka, to raport pogodowy zapowiadający wieczne zero absolutne. Jest w niej coś dziwnego, jakby to, co się teraz dzieje, było nieistotnym epizodem w czymś znacznie większym. Nie ma w niej emocji, żadnej reakcji, która mogłaby powiedzieć, co naprawdę myśli.

Jej ciemne, proste włosy opadają na ramiona. Twarz ma ostre, wyraziste rysy. Jest jak marmurowy posąg, który ktoś ożywił tylko po to, by przekazał nam ostatnie namaszczenie. Jej oczy to dwa wyschnięte baseny. Brązowe, puste, z tym rodzajem głębi, w którą nie chcesz zaglądać, bo wiesz, że nic nie oddaje spojrzenia. To otchłań, która nawet nie mruga.

Czekam. Niech ona wykona pierwszy ruch w tym martwym tańcu. Kobieta stoi nieruchomo, niewzruszona jak skała, na której rozbijają się resztki mojej cierpliwości. W końcu, gdy milczenie zaczyna śmierdzieć trupem, otwiera usta:

– Przepraszam, nie przedstawiłam się. Nazywam się Alison Tugers. Pracuję w firmie zajmującej się analizą danych z zewnętrznych źródeł.

To, że mówi to tak zwyczajnie, nie zmienia faktu, że jej obecność wciąż nie daje mi spokoju. Może dlatego, że rzadko ktoś spoza mojego świata wkracza w tę przestrzeń.

– Poproszono mnie o pilne dostarczenie konkretnego zapisu rozmowy operatora numeru alarmowego.

Nie czeka na moją zgodę. Po co? W tym świecie nikt już o nic nie pyta. Otwiera teczkę, wyciąga płytę CD i kładzie ją na moim zasyfionym biurku. Ten kawałek plastiku lśni wśród kurzu jak moneta na oczach nieboszczyka. Jej ruchy są płynne, wyćwiczone do obrzydliwości jak mechaniczny balet rutyny.

– To jest nagranie tej rozmowy.

Biorę płytę do ręki, obracam ją powoli w palcach. Jest zimna, nie ma w niej nic, co by przyciągało uwagę.

– Dzięki – mówię, starając się brzmieć naturalnie. Wychodzi mi to fatalnie.

– Jeśli będzie coś jeszcze, w czym mogę pomóc, proszę o kontakt telefoniczny. – Jej ton jest uprzejmy w ten sam sposób, w jaki uprzejma jest instrukcja obsługi gilotyny.

Sięga do kieszeni i wyciąga wizytówkę.

– Jestem dostępna pod tym numerem.

Przytakuje, choć mam wrażenie, że to wszystko jest tylko kolejną formalnością, kolejnym gestem w tej układance, której nie rozumiem.

Kładzie wizytówkę na biurku i bez słowa, z taką samą pewnością, jaką weszła do tego pomieszczenia, kieruje się w stronę wyjścia.

Drzwi zamykają się za nią, a ciszę, która po niej została, natychmiast rozdziera śmiech Deana. Gość niemal spada z krzesła, trzęsąc się w tym swoim żalonym napadzie wesołości. W jego oczach lśni ten rodzaj złośliwego błysku, który pojawia się tylko wtedy, gdy ktoś inny oberwie rykoszetem od życia.

– Ty to masz styl, Howard. Jak nikt potrafisz czarować panienki. Prawdziwy amant z prosektorium – rzezi, ocierając łzę, która pewnie jest jedyną czystą rzeczą na jego twarzy.

Rzucam mu spojrzenie, które powinno go zwęglić na miejscu. Marszczę brwi, czując, jak w środku wzbiera mi żółć. Wiem, co zaraz nastąpi. To ta jego mała, nędzna gierka. Szukanie zadry w moim pancerzu, wywlekanie każdej słabości na wierzch, byle tylko poczuć się przez chwilę mniej martwym niż reszta tego wydziału.

– Co? – cedzę przez zęby, udając, że nie łapię tej jego prymitywnej ironii. – Co cię tak bawi?

Wzrusza ramionami, ale ten cyniczny uśmiech wciąż wykrzywia mu gębę. Nie odpuszcza. Nigdy nie odpuszcza, póki nie poczuje krwi.

– Widziałem, jak gapileś się na nią – mówi, a w jego głosie slychać czystą złośliwość. – Nieźle, Howard, nieźle. Widać, że nie jesteś tu nowicjuszem w branży beznadziejnych przypadków. Wyglądałeś, jakbyś zaraz miał ją zapytać o numer seryjny, a nie o nazwisko.

Przewracam oczami, czując, że każda sekunda tej rozmowy to minuta życia, której nikt mi nie zwróci.

Przyglądam się wizytówce. Niewielka, gładka, biała kartka:

QuantumStream Innovations

Alison M. Tugers Specjalista ds. Współpracy Zewnętrznej

Tel. 555-2478

E-mail: a.m.tugers@quantumsi.com

– No dobra, koniec żartów. – Uśmiecha się szeroko. – Odpalaj płytę, mój ty **Romeo**.

Zrzucam mu szybkie spojrzenie.

– Czy już dziś mówiłem ci, żebyś spieprzał?

Dean wzdycha, unosząc ręce w geście poddania, i w końcu przy-
myka jadaczkę. Przynajmniej na chwilę.

Wkładam płytę do napędu. Mechanizm rzezi, trzeszczy i mieli plastik z takim oporem, jakby próbował przeżuć ludzkie zęby. W końcu głośniki eksplodują ostrym, pojedynczym impulsem. Nie jest głośny, ale wystarczająco nagły, by poczuć go jak uklucie pod mostkiem. Po nim pozostaje głuchota, milcząca, ale pełna napięcia.

– Chyba załapało – rzuca Dean, a to jego wieczne, lekceważące rozbawienie sprawia, że mam ochotę rozbić mu ten cholerny monitor na głowie. – Kto by pomyślał, że to komputer stanie się twoim jedynym życiowym partnerem.

Patrzę na niego, nie dając się rozproszyć. Uśmiecham się, a potem rzucam z minimalnym przekąsem:

– Czasem masz rację, Dean, ale rzadko tam, gdzie to istotne.

Wciskam play, zanim ta maszyna ostatecznie wyzionie ducha.

Na początku slychać tylko statyczny szum, cichy, nieprzyjemny jak elektryczność pelzająca po gołych przewodach. Po chwili nagranie się stabilizuje. Głos operatora przebija się przez foniczne zakłócenia.

– Służby ratunkowe, Los Angeles, jaki jest rodzaj zgłoszenia?

Milisekunda pustki.

Potem słowa.

Jednak to nie jest ludzki głos.

– ...*ćb...śb...a...n...*

Dźwięk jest zniekształcony, przyduszony, wyciągnięty z jakiejś gardzieli, która nie zna światła dziennego. Jest zbyt głęboki, nasycony tą dziwną wibracją, która sprawia, że żołądek wywraca mi się na drugą

stronę. Dean milczy, jego wzrok jest skupiony, nie wygląda na zszokowanego, ale coś w jego oczach mówi, że i on to poczuł. Może tylko nie chce tego przyznać.

– Gdzie się pan znajduje? – pyta operator. Głos ma spokojny. Czy on jest głuchy? Czy ten system filtruje mrok tak skutecznie, że słyszy tylko to, co chce usłyszeć?

Znów to samo. Trzask. Skok w nagraniu. A potem...

– ...*hh...nie...szhbkł...a...rni...a...*

To nie są słowa. To echo.

Słowo *szklarnia* rozciąga się nienaturalnie, jakby każda litera była nasączona czymś, co przypomina ludzką mowę tylko w ten sam sposób, w jaki manekin przypomina żywego człowieka. Mam ochotę wyłączyć to gównem.

– Rozumiem, wysłałem patrol do hotelu. Jak się pan nazywa?

– ...*wa...ndo.....tbb...*

Pojedynczy trzask. Potem koniec, lecz nie całkowicie.

To nie jest milczenie. To obecność. To oddech. Cichy, długi, przeciągły wydech, który wysysa cały tlen z biura. Ktoś lub coś siedzi tuż przy mikrofonie, po drugiej stronie pustej linii. Czeka na zaproszenie.

Nagle z głośników wyrывa się pisk. Cienki, przeszywający, wwiercający się w czaszkę jak wiertło dentystyczne. Przypomina dźwięk, który wydaje szklanka, kiedy przejedziesz po niej palcem.

Głośniki milkną, ale *to* wciąż tam jest. Nie wiem jak, nie wiem gdzie, ale odbieram to wewnętrznie. To *oddycha*. I nie jestem pewien, czy to było nagranie, czy to właśnie nas *śłucha*.

Dean wciska stop.

Dźwięk wciąż rezonuje w mojej głowie. Coś wewnątrz powtarza go w nieskończoność: *hh...nie...szhbkł...a...rni...a...*

– Co to, do jasnej cholery, miało być? – rzuca Dean, a w jego głosie irytacja walczy z lękiem o to, kto pierwszy wymieknie.

– Nie wiem – odpowiadam. To najszczerza rzecz, jaką powiedziałem od tygodnia.

– Zakłócenia? – pyta, ale brzmi to, jak błaganie o jakiegokolwiek racjonalne kłamstwo.

– Dean, kiedy ostatnio słyszałeś zakłócenia, które brzmiały jak cholerny oddech wciśnięty prosto w twoje ucho?

Nie wiem.

– Operator niczego nie zauważył – mruczy w końcu, czepiając się logiki jak tonący brzytwy.

– Może miał lepszy sprzęt? Może to, co słyszeliśmy, nie było przeznaczone dla niego, tylko skierowane prosto do nas.

Słowa zawisają w powietrzu.

– Nie! – ucina, zanim dodam coś więcej. – Howard, oszczędź mi tych paranormalnych bzdurow. To tylko pieprzone nagranie. Technologia. Zawsze da się to racjonalnie wyjaśnić.

Mówi to pewnie, ale widzę, jak drży mu dłoń, gdy przeciera kark. Boi się, że racjonalne wyjaśnienia skończyły się razem ze światłem dziennym trzy dni temu.

– Odsłuchujemy to raz jeszcze? – pyta, choć widać, że woli pokłnąć własny język.

– Szkoda czasu. Jadę po tę cholerną kartę do Parkera, a ty załatwiasz nakaz. Rusz tylek.

– Poniedziałek rano, a ja muszę iść lizać tylek szefowi? – prychna, ale przynajmniej wraca mu ten jego cyniczny instynkt przetrwania.

– Bo robisz to najlepiej w całym Los Angeles.

Dean przewraca oczami.

– Weź od razu tę płytę i daj Parkerowi do analizy. – Jego ton jest niemal rozkazujący jak zawsze wtedy, kiedy chce zakończyć temat. Przesuwa krążek po blacie z wyraźnym obrzydzeniem, jakby dotykał czegoś brudnego.

Wychodzę. Pogoda niby odpuściła, ale to tylko złudzenie. Powietrze wisi nisko, mętne i brudne, a miasto wygląda, jakby desperacko próbowało złapać oddech przez szmatę nasączoną benzyną. Ten lepki osad po burzy czuję na każdym centymetrze skóry.

Macam kieszeń płaszcz. Paczka papierosów jest twarda i szorstka. Wyciągam jednego, wilgotnego od wszechobecnej pary. Wykrzywia się w moich ustach, jakby on też miał dość. *Pstryk*. Płomień zapalniczki drży na wietrze, odbijając się w smolistej kałuży u moich stóp. Ogień liże bibulkę, aż żar zaczyna wyżerać krawędzie. Pierwszy mach. Dym jest gorzki, gęsty, wypełnia mnie jak spóźnione wspomnienie lepszego życia. Nikotyna uderza do głowy. Jedyne dowód na to, że wciąż jeszcze coś czuję.

Idę do swojego Crown Vica. Kroki dudnią w tej martwej pustce, buty walą o beton z głuchym pogłosem. Otwieram drzwi, czując pod palcami znajomą, zimną krawędź metalu i tę jedną rysę. Pamiątkę po nocy, której wolalbym nie pamiętać.

Siedzenie jest twarde, skóra popękana jak moje sumienie. Wpasowuję się w te wyżłobienia, które przez lata uformowały się pod mój ciężar. Przekręcam kluczyk. Osiem cylindrów budzi się do życia z rykiem rozdrażnionego bydłęcia, które ma dość bycia zaprzęganym do tej furgonetki z trupami. Wentylacja rzyga starym kurzem i smrodem paliwa. Radio. Znowu jakiś przepity głos wyje o końcu świata.

Nagranie wciąż żre mi mózg, wgryza się w synapsy jak kwas.

Ten głos... to nie były ludzkie struny głosowe. To brzmiało jak coś, co uczyło się mówić, trawiąc cudze gardła. W tamtej chwili czułem, że za tym dźwiękiem czai się otchłań, ale może Dean ma rację. Może to tylko pierdolona technologia, błąd w kodzie, zakłócenie, które ułożyło się w parodię oddechu. Chcę w to wierzyć, bo alternatywa oznacza, że noc przyniosła nam coś znacznie gorszego niż tylko brak słońca i trupa w szklarni.

Jeszcze ta cała Tugers...

Jej spojrzenie miało temperaturę ciekłego azotu. Sposób, w jaki podała mi tę płytę, to nie była rutynowa dostawa. To był podarek od kogoś, kto dokładnie wie, co jest w środku. Co ona ukrywa pod tym płaszczem zrobionym z cienia? Kiedy mówiła, że może pomóc, nie brzmiało to, jak oferta, ale jak zaproszenie do gry, w której karty są już znaczone. I dlatego jej obecność wciąż nie daje mi spokoju?

Wjeżdżam na główną ulicę. Neony rzucają światłem na mokry asfalt, tworząc w kałużach konstelację sztucznych gwiazd na martwym niebie. Na rogu jakiś bezdomny sączy truciznę z papierowej torby, skulony pod murem, jakby próbował się w niego wtopić.

Samochody wleką się leniwie, ich reflektory pełzną po bruku jak ślepe robaki. Na skrzyżowaniu wybucha czerwień. Ford warczy, wibruje pod moimi dłońmi, gotów wyrwać się z tej pułapki. Mijają mnie ludzie, a raczej ich cienie pochowane w płaszczach, każdy zamknięty w swojej osobistej celi rozpacz.

Przejeżdżam przez most. Stalowe barierki lśnią wilgocią. Rzeka poniżej jest czarna i nieruchoma jak olej. Skręcam w lewo, w stronę wydziału technicznego. Parking świeci pustkami, co tylko potęguje wrażenie, że świat właśnie się kończy, a my jesteśmy ostatnimi ludźmi, którzy nie dostali zaproszenia na pogrzeb.

Wysiadam. Z oddali dobiegają odgłosy silników, wściekłych klaksonów i cichych, bezosobowych rozmów. Razem tworzą ścieżkę dźwiękową miasta, które nienawidzi samo siebie. W szybie auta widzę odbicie budynku: *biała fasada, lśniące okna*. Ktoś tu desperacko próbuje utrzymać pozory cywilizacji, nakładając świeżą farbę na gnijące blizny konstrukcji. To miejsce ma swoje lata i swoje trupy, ale ktoś dba, by nie rozpadło się zbyt szybko.

Na ścianie przy wejściu wisi krzywo metalowa tabliczka. Ma starte krawędzie, jakby czas próbował ją zjeść, ale czarny napis wciąż bije po oczach:

LABORATORIUM KRYMINALISTYCZNE SEKCJA B

Jeśli gdzieś w tym mieście można jeszcze rozłożyć mrok na czynniki pierwsze, to właśnie tutaj. Parker już na mnie czeka, a on kocha martwe dane prawie tak mocno, jak ja nienawidzę poranków. Identyfikator lekko kołysze się na smyczy. Przykładam go do czytnika. Pik. Zamek puszcza. Drzwi otwierają się z cichym syknięciem, wpuszczając mnie do środka. Natychmiast dostaję w twarz dawkę orzeźwienia. Czystość aż drażni nozdrza. Metal, plastik, echo środków dezynfekujących. Na ścianach oprawione plany budynku, jarzą się pod jasnym światłem. Tutaj nie ma miejsca na przypadek. Każdy element jest na swoim miejscu, jakby porządek był jedyną religią, jaka nam została. Monotonny szum systemów i ciche syczenie wentylacji zlewa się w jeden mechaniczny szept, który zagłusza myśli. Mijam kolejne korytaryze. Krzesła pod ścianami stoją w równych rzędkach. Warsztat Parkera jest na samym końcu. Mleczne drzwi, za którymi światło jarzy się nieregularnie, jakby serce **sekcji B** miało arytmie.

Parker siedzi przy niskim biurku, pochyłony nad jakimś otwartym urządzeniem niczym włamywacz nad sejfem, w którym zamiast złota są tylko cudze tajemnice. Kable wiją się między narzędziami jak logiczne pułapki, a drobne śrubki na metalowej tacy wyglądają jak szczątki cyfrowej ofiary. Na ekranie migają linie zielonego kodu, ale on na nie wcale nie patrzy, nie czyta danych. On wylapuje błędy instynktem. Parker nie naprawia sprzętu, wchodzi tam, gdzie system zakładał, że nikt nie wejdzie.

Zatrzymuję się przed nim, ale on udaje, że mnie nie widzi. Czeka.

– Karta – rzucam krótko, nie mając siły na uprzejmości.

Nie odpowiada. Wstaje, prostując te swoje długie, pajęczne łapy. Sięga na górną półkę po czarne, matowe pudelko. Otwiera je z nabożną ostrożnością, dając mi czas, bym poczuł ciężar tego, co zaraz nastąpi. Kładzie kartę przede mną. Zerkam w jej stronę. Zwykły papierowy prostokąt, ale po latach w policji wiem, że najlepszymi kłamcami są właśnie pozory.

– Nic. Zero. Czysta jak sumienie noworodka – zaczyna Parker, ale w jego głosie słychać nutę chorobliwego podziwu. – Ubranie czyste, karta tak samo. Ten, kto ją tam zostawił, to pieprzony artysta. Wiedział dokładnie, jak wszystko wyczyścić. To nie jest robota amatora.

– W szklarni też nic? Żadnego włosa, odcisku?

– Powiem ci tak: *to wygląda, jakby ona sama tam przyszła.*

– Serio? – pryham, czując narastającą irytację. – Położyła się, następnie zdechła na zawołanie? To ma być twoja oficjalna wersja? To mam wpisać do tego pieprzonego raportu?

Wsuwam kartę do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Jest zimna. Ten chłód przebija się przez materiał i dotyka skóry.

– Będziemy szukać dalej. – Parker wzrusza ramionami. – Ale bądźmy szczerzy, pewnie gównem z tego wyjdzie.

Rzucam na stół płytę od Tugers. Krążek wiruje przez chwilę, lśniąc w jarzeniowym blasku, zanim znieruchomieje.

– Sprawdź też to. I przygotuj się na to, że ten dźwięk może ci się śnić po nocach. Jeśli jeszcze w ogóle śpiasz.

– Co to jest? – pyta Parker, a w jego głosie słychać niechęć do wszystkiego, co nie jest czystym kodem.

– Nagranie rozmowy z potencjalnym zabójcą. Albo z czymś, co go udaje – rzucam, czując na plecach lodowaty dreszcz. – Sprawdź, czy ktoś przy tym majstrował. Jeśli to cyfrowe kłamstwo, masz je obnażyć.

Bierze płytę, obracając ją spokojnie w dłoniach, jakby dostał jakiś

rodzaj radioaktywnego opadu.

– To wszystko?

– Tak, na razie. Jeśli coś znajdziesz, daj znać.

Z Parkerem nie ma co gadać bez dowodów.

Odwracam się i wychodzę z tej sterylnej klatki prosto w ramiona nocy, która znów zaczęła na mnie rzygać drobnym, złośliwym opadem. Krople osiadają na szybie Forda, rozmazując neony w drżące, krwawe smugi.

Drzwi zatraskują się glucho, odcinając mnie od szumu miasta. Włączam światło w kabinie. Nędzna, żółtawa żarówka ledwo omiata wnętrze. Wyciągam kartę. Papier wygląda na stary, lekko pożółkły, ale to oszustwo. Jest zbyt gładki, postarzony powierzchownie, by uśpić czujność. Przesuwam kciukiem po krawędzi. Jest nierówna, szarpana ręcznie, jakby ktoś wycinał ten wyrok w pośpiechu.

Wpatruję się w środek. Zegar. Popękana tarcza i wskazówki wygięte pod nienaturalnymi kątami jak połamane palce, które bezskutecznie próbowały zatrzymać sam czas. Cyfry rzymskie i symbole mieszają się w alfabet, którego nikt nie chciałby umieć czytać.

Im dłużej patrzę, tym bardziej mam wrażenie, że cienie postaci wokół tarczy zaczynają drgać. Może to zmęczenie, może to ta pieprzona kawa, a może ta karta naprawdę żyje własnym, mrocznym życiem. Na dole, piasek. Zasypuje dolną część karty, wysypując się przez widoczne szczeliny. Nie wiem, co to znaczy. I nie podoba mi się to.

Rzucam to gównem na siedzenie obok. Nie ma sensu zgadywać. Potrzebuję faktów. Zawracam płynnie, czując znajomy ciężar auta. Światła ulic rozmazują się na szybie, rwane pręgami wody, jakby miasto płakało nad własnym upadkiem.

Komisariat wita mnie swoją kakofonią, symfonią frustracji i beznadziei. Dean tkwi przy biurku, wciśnięty w telefon tak mocno, jakby od

tego zależało jego życie. Jego wzrok jest rozbiegany, nieobecny. Wodzi palcem po wyszczerbionym rancie kubka z zimną kawą, która już dawno straciła smak. Dostrzega mnie i przyspiesza rozmowę.

– Tak – przytakuje, brząc jak zdarta płyta. – Jasne. Dzięki, szefie.

Odkłada telefon. Krzesło skrzypi pod nim jak szubienica.

– Mam nakaz – rzuca z tym swoim cwany uśmiechem.

– Dobrze, ale czemu dzwoniłeś?

Wzrusza ramionami, *klikając* coś na monitorze.

– Spójrz na to tak. To higiena pracy. To, że ty zawsze wyglądasz jak po tygodniu imprezy w kanale, nie oznacza, że ja mam ochotę oglądać gębę starego po nocy spędzonej przy whisky. To kwestia estetyki, Howard.

Patrzę na niego, czując, jak irytacja pulsuje mi w skroniach. Jego bez troska to tylko kolejna warstwa ochronna, którą nakłada na to bagno, żeby nie zwariować.

– Nie wierzę, że zadzwoniłeś tylko po to, żeby nie musieć z nim gadać twarzą w twarz.

– Powiedziałem, że jesteśmy w terenie i będziemy tego potrzebować, jak wrócimy. Kłamstwo to fundament skutecznej policji, nie wiedziałeś o tym?

Kręcę głową z lekkim politowaniem.

– Tak czy inaczej, cel osiągnięty, co? Stary jest w dobrym humorze. Albo po prostu chce mieć ten syf z głowy. – Dean rzuca to z tą swoją lekką pogardą, która jest u nas walutą narodową.

– Może jedno i drugie – odpowiadam.

Opadam na krzesło. Stare, metalowe rurki jęczą pod moim ciężarem, ale jeszcze się trzymają. Wyciągam z kieszeni kartę i kładę ją na zasyfionym blacie. Lśni w świetle jarzeniówek jak coś, co wypłuło samo piekło.

– Znasz się na tarocie? – pytam, nie odrywając od niej wzroku.

Dean zerka na prostokąt papieru, pilnując się, żeby go nie dotknąć. Jakby to była próbka węglik.

– Na czym? Howard, wyglądam ci na wróżkę z telewizji?

– No właśnie. Sprawdzę to w internecie. Może tam znajdę instrukcję obsługi tego szaleństwa.

– To ty baw się w egzorcystę, a ja idę rozprostować gnaty, zanim na stałe zrosnę się z tym biurkiem.

Odpalam Explorera. Maszyna przetwarza dane, dysk rzeźi, a ja czekam, gapiąc się w kursor, który miga jak puls umierającego.

Wpisuje: *lista kart tarota. Klik*. Pierwszy wynik to ściek dla fanów ezoteryki: *fioletowe tła, gówniane amulety i obietnice szczęścia za jedyne 9,99\$*. Cudownie. Prawda zawsze jest ukryta pod grubą warstwą brokatu i kłamstw.

Mieję te informacje wzrokiem. Siedemdziesiąt osiem kart. Wielkie Arkana, Małe Arkana. Symbole losu, przeznaczenia i inne bzdury dla ludzi, którzy nie potrafią pogodzić się z tym, że rządzi nami przypadek i grawitacja.

Wielkie Arkana: *Głupiec, Mag, Kapłanka, Kochankowie*... Dwadzieścia dwie karty. Punkty zwrotne. Jakieś ezoteryczne cholerstwo, które ma tłumaczyć, dlaczego twoje życie to ruina.

Niżej Małe Arkana. Pięćdziesiąt sześć kart. Buławy, Kielichy, Miecze, Denary. Codziennosc opisana obrazkami. Dziesięć numerów, cztery figury.

Zatrzymuję się i patrzę na to, co leży przed moją ręką. Popękana tarcza zegara... te dziwne, wygięte wskazówki... cienie postaci, które zdają się drgać, gdy nie patrzysz na nie bezpośrednio.

Wracam do listy.

Głupiec. Stoi nad przepaścią. Nie wiem, czy to odwaga, czy po prostu brak mózgu. Może zaraz spadnie i skończy się ta zabawa.

Kochankowie. Spleceni w cieniu. Ich twarze to tylko plamy mroku,

ale wyglądają bardziej, jak ofiary wypadku niż para w ekstazie.

Rydwani. Dwa konie rwą w różne strony. Totalny paraliż. Chaos przebrany za ruch. Ten wóz nigdzie nie pojedzie tak jak to miasto.

Przewijam dalej, czytając te bzdury o uniwersalnych symbolach, przeznaczeniu i kosmicznym rezonansie, który rzekomo ma naprawić moją pustą lodówkę i jeszcze pustsze życie. Wyszukiwarka karmi mnie nadzieją skrojoną pod naiwnych internautów, mając archetypy **Junga** na papkę dla zdesperowanych. Każda karta, od *Maga* po *Śmierć*, została tu pozbawiona głębi i sprowadzona do roli prostej ilustracji, byle kupić naklejkę na zderzak samochodu. To wygląda jak darmowa próbka szamponu wklejona do kolorowej gazety. Obietnica luksusu, która starcza na jedno mycie i zostawia po sobie tylko puste opakowanie.

Wracam wzrokiem do mojego znaleziska. Moja karta nie pasuje do tego cukierkowego obrazka z internetu. Nie ma tu *światlanej przyszłości* ani *nonych możliwości*. Jest tylko ten zegar z powykręcanyimi wskazówkami, który wygląda, jakby czas oszalał.

Stukam palcem w papier. Jest zimny i niepokojąco gładki.

– Czym ty, do cholery, jesteś? – mruczę do pustego biurka.

Ktoś to musiał spreparować. Tylko po co? Jaki chory umysł zadaje sobie tyle trudu, żeby stworzyć kartę, której nie ma? To informacja. Jeśli tak, to dla kogo? Dla mnie?

Drzwi biura walą o framugę, wrywając mnie z tego transu. Kilku gliniarzy unosi lby znad raportów, rzucając szybkie, nienawistne spojrzenia, po czym wracają do swojego papierowego gnoju. Dean idzie przez salę, wymachując nakazem jak trofeum. Zatrzymuje się nade mną, szczerząc zęby w tym swoim cynicznym uśmiechu.

– Co tak siedzisz, Howard? Miałeś objawienie, czy po prostu twój procesor ostatecznie się przegrzał? – pyta, zaglądając mi przez ramię.

– Po prostu myślę. – Podnoszę brwi. Przesuwam ten kawałek tektury w jego stronę, jakbym podawał mu odbezpieczony granat. – To

nie jest zwykła karta tarota.

Dean opiera się o biurko.

– A co to znaczy *zwykła* w świecie, gdzie słońce bierze bezterminowy urlop?

– Tarot to siedemdziesiąt osiem kart. Wielkie Arkana to dw...

Przerywa mi, unosząc ręce w obronnym geście, jakby te fakty mogły go czymś zarazić.

– Serio? Przestań mi tu czarować i lać wodę. Mów konkretnie, zanim osiwieję do reszty.

– Gdybyś ty był zawsze taki konkretny... – szepczę pod nosem, po czym wbijam palec w rysunek. – Zegar. Nie ma takiej karty w żadnej talii od Los Angeles po Watykan. To błąd. Intruz.

– Widzisz? Można? – Klaszcze w dłonie, a ten dźwięk jest tak pusty, jak jego nadzieja na szybkie rozwiązanie tej sprawy. Potem jednak mruży oczy, a cynizm na chwilę ustępuje miejsca instynktowi. – Może jednak to jakaś autorska wersja? Jakiś niszowy syf dla artystów, którzy za dużo ćpają?

– Przejrzałem wszystko. Kolekcjonerskie edycje, dziwne fora, sklepy dla czubków. Nic. Zero. Ta karta narodziła się w czyjejs chorej głowie specjalnie na tę okazję.

Bierze ją w palce, obraca pod światło, jakby sprawdzał autentyczność banknotu.

– A więc to albo robota szarlatana, który ma za dużo wolnego czasu i nie lubi wędkowania.

– No właśnie, i to mnie martwi najbardziej.

Dean uśmiecha się krzywo. To jego firmowy grymas, którym maskuje fakt, że też ma gesią skórkę. Rzuca nakaz na stół. Papier wciąż jest ciepły, pachnie tonerem i biurokracją. To aromat procedur, które przecież i tak nikogo nie uratują.

– Olać wróżby. Zaglądamy do sekretów naszej artystki? Może w jej

pokoju znajdziemy instrukcję obsługi tego zegara.

Sięgam po dokument. To tylko kolejny kawałek nieistotnej rzeczywistości, urzędowe pozwolenie na grzebanie w cudzych śmieciach.

– Takie tajemnice zawsze smakują najlepiej, nie? – mówię to głosem tak wypranym z emocji, że sam siebie nie poznaję. To już nie jest ironia. To tylko stwierdzenie faktu w świecie, gdzie prywatność umiera wraz z pulsem.

Zaczyna się coś, co wykracza poza standardowy raport z miejsca zbrodni. Jeśli ta karta to list, to właśnie poczułem, jak ktoś przykładami znaczek do czoła. Stała się kotwicą, która uwięzła w mule tego gnijącego miasta. Myślmy, że ją badamy, ale tak naprawdę to ona nas tu trzyma, blokuje nam drogę ucieczki, podczas gdy wokół zaczyna wzbierać sztorm, na który nie mamy ani szalup, ani odwagi.

To pierwsza kostka domina, którą ktoś pchnął w naszą stronę z absolutnej ciemności. Wygląda niewinnie jak kawałek zadrukowanego papieru, ale ma w sobie wystarczający impet, by wywołać lawinę, która zmiecie ten komisariat i nas razem z nim, zanim w ogóle zrozumiemy, że nikt tu nie przyszedł wygrać. Przyszliśmy tylko odegrać swoje role w martwym przedstawieniu.



Labirynt pamięci

Unvoiced Til. Adres, który brzmi jak ponury żart, obietnica złożona w próżni. Żółtawa fasada budynku łuszczy się i odpada płatami, przypominając chorą skórę, która trzyma się kości już tylko siłą nawyku. Ślady dawnych remontów to jedynie jaśniejsze plamy farby, bez nadziejne próby zamaskowania fuszerki, które i tak zmatowiały pod bezlitosnym, choć niewidocznym od trzech dni słońcem. Kiedyś mieszkali tu ludzie, którzy wierzyli w pracę i jutro. Na dole parzono przyzwoitą kawę za kilka centów, która nie smakowała popiołem. Dzisiaj to miejsce stoi w milczeniu jak ranny pies czekający na poboczu, aż śmierć w końcu sobie o nim przypomni.

Na parterze wegetuje pralnia. Nad wejściem straszy odrapane logo. Z wnętrza bije aromat detergentu zmieszanego z zapachem ludzkiego zmęczenia. To lokalny czyściciel. Bębny automatów obracają się w nieskończoność, mieląc brud, którego nie da się już wypłukać. To hipnotyczny, jałowy rytuał zmywania win, które wżarły się w tkaninę tego miasta zbyt głęboko, by jakkolwiek chemia mogła je usunąć.

Obok dogorywa sklep monopolowy. Neon ledwie trzyma się resztek nadziei. Kilka liter już zgasło, reszta już tylko pulsuje, czekając na ostatecznie zwanie.

Wchodzimy na klatkę schodową. Szara farba na ścianach jest starta do gołego tynku wszędzie tam, gdzie szukały oparcia dłonie lokatorów. Każdy nasz krok odbija się głucho, jakby budynek liczył uderzenia gwoździ wbijanych w jego trumnę. Kurz wisi w dusznym powietrzu, walcząc o dominację z zapachem wilgoci i tanich środków czystości. Winda zatrzymuje się z jękiem metalu o kilka centymetrów za nisko. Drzwi otwierają się z niskim, zgrzytliwym dźwiękiem, czymś pomiędzy ostrzeżeniem a błaganiem o litość. Utknięcie tutaj... Powiedzmy sobie szczerze: *z tego miejsca się nie wraca.*

Korytarz wita nas absolutnym bezgłosem. Żadnych kroków, żadnych rozmów z innych lokali, tylko ledwo słyszalny szum miasta.

7b. Ostatnie drzwi na samym końcu, tam, gdzie mrok jest najgęstszy. Bladozielone, obdrapane na krawędziach, z resztkami zdrapanych naklejek jak świadectwo czyjejś nieustępliwości, która ostatecznie i tak przegrała z obojętnością.

Dean podchodzi i niepewnie chwyta za klamkę. Metal delikatnie się ugina, ale zamek trzyma mocno.

– Zamknięte.

– No, niedziwne – rzucam, wyciągając paczkę papierosów, bez patrzenia na niego.

– Nie, ale kto wie. Nigdy nie wiadomo.

– Naprawdę liczyłeś na to, że zostawi klucz pod wycieraczką i liścik: *wejdziesz, Dean, i poznaj moje sekrety, zanim całkiem wyparuję?*

Zaciągam się.

– Howard... oszczędź mi tych nadziei. Dzwoń do ślusarza albo od razu do grabarza od drzwi.

Wzdycham, wyciągam telefon i dzwonię. Monotonny sygnał w słuchawce brzmi jak odliczanie na oddziale reanimacyjnym. W końcu odzywa się głos. Chropowaty, zmęczony, wyrwany z drzemki, która pewnie była jedyną dobrą rzeczą w jego nędznym życiu. Podaję adres. Mężczyzna mruczy coś pod nosem, obiecując, że zjawi się za kwadrans. Chowam telefon, nie spuszczać wzroku z drzwi. Zastanawiam się, ile warstw kłamstw musi skrywać ten zamek.

W korytarzu powietrze stoi w miejscu. Smakuje wspomnieniami, które zdechły i utkwily tu na zawsze przez awarię wentylacji. To stała atmosfera stagnacji. Nic się nie rusza, nic się nie zmienia, wszystko tylko powoli śmierdzi. Przez brudne okno widać światła miasta, rozsmazane plamy czerwieni i złota, które układają się w przypadkowy, niepokojący wzór. Przechodnie pod latarniami wyglądają jak cienie potępieńców, blakające się bez celu po dusznej scenografii.

– Coś cię gryzie? – Dean patrzy na mnie z ukosa.

Strząsam popiół na posadzkę, niech dołączy do reszty brudu.

– Po prostu... – Wypuszczam dym. – Nie lubię, jak coś się nie zgadza i psuje rytm.

Nie pyta dalej. Nie musi. Doskonale wie, że to nie kwestia zamka ani drzwi. Problem jest głębszy, choć jeszcze nie widać, w jakiej formie będzie chciał się łaskawie ujawnić.

Trzeci papieros dogorywa między moimi palcami. Dym wije się leniwie, nie rozprasza się, tylko wgryza w skórę, przygniatając swoją cichą obecnością.

Po chwili w korytarzu pojawia się wyczekiwany mężczyzna. Oczy ma podkrążone, ale wciąż czujne. Jest gotów na wszystko, co może go zaskoczyć. Palce ma pewne, ale paznokcie brudne od smaru. Skóra jest zgrubiała w miejscach, gdzie zbyt wiele razy dotykała twardych narzędzi. Ma na sobie kombinezon, który lata świetności ma za sobą. Jest wyblakły, przytarty, śmierdzący olejem i rezygnacją. Mężczyzna ocenia wzrokiem drzwi, potem nas. W jego spojrzeniu nie ma grama ciekawości. Widział już tysiące takich drzwi i tysiące takich gliniarzy. Zna tę opowieść i zna wszystkie jej zakończenia. A każde z nich jest tak samo brudne.

– Co mamy? – pyta, nie podnosząc wzroku.

Dean podaje mu nakaz. Ślusarz ledwie zerka na papier. Dla niego to tylko świstek, który sprawia, że jego praca jest legalnym wandalizmem, a nie przestępstwem. Sięga do torby po pognieciony blok formularzy, który przeszedł już przez niejedno piekło. Wypełnia go na autopilocie.

– Panowie, dane. Tylko tyle mnie obchodzi – rzuca.

Wpisujemy się. Długopis skrobie o wilgotny papier, tusz rozlewa się nierówno, tworząc kleksy, które wyglądają jak małe plamy atramentowej krwi. Mężczyzna odrywa kopię, składając ją pewnym ruchem.

– Dwie minuty.

Kłeka przy zamku, a torba uchyla się szerzej, odsłaniając arsenal narzędzi. Wyglądają jak zestaw do patroszenia, nie tylko zamków. Facet nie traci czasu. Cienkie wytrychy wślizgują się w szczelinę, badają mechanizm w milczeniu, wyciągając z niego każdy wstydlivy sekret zapadek.

– Ludzie myślą, że zamki ich ochronią – rzuca ślusarz, a w jego głosie słychać czysty, techniczny cynizm. – Ale w tym mieście nie ma takich drzwi, których nie dałoby się rzucić na kolana.

Zamek puszcza, wydając ostatnie tchnienie. Ciche, ostateczne *kliknięcie*. Mechanizm poddaje się, nie mając już siły walczyć z profesjonalną przemocą.

– Proszę bardzo.

Zbiera graty błyskawicznie. Narzędzia lądują w torbie z metalicznym szczękiem. Wstaje i odchodzi, nie rzucając nawet spojrzenia. To nie jego sprawa, nie jego syf. Znika w mroku korytarza, a my zostajemy sami z zapachem smaru i tym, co czai się za progiem.

Dean sięga po broń, kabura wydaje cichy trzask. Napięcie w jego ruchach mówi więcej niż słowa, ale nie wyjmuje jej, tylko delikatnie ją przesuwają.

– Wchodzimy? – pyta, gapiąc się w ciemność za progiem. Ta czerń zdaje się nas wchłaniać, smakować, zanim ostatecznie nas przelknie.

– Dean, nie po gnilem na korytarzu, żeby teraz ustąpić przed wejściem – odpowiadam, starając się brzmieć pewnie.

Tylko czy naprawdę chcemy tam wejść?

Na początku jest zastaly zapach zmieszany z powietrzem, które nie ruszało się przez tygodnie. Potem ciemność. Nie ta zwykła, brak światła, ale ta, która ma kształt, masę i własną, złą wolę. Jest oślepiająca, niemal fizyczna. Dotyka skóry, szepcząc prosto do ucha, że intruzi nie kończą tu dobrze.

Dean rusza przodem. Jego wzrok omiata wnętrze, szukając schematu w chaosie. Standardowa procedura: *wejść, nie zrygać się, znaleźć coś, co pozwoli zamknąć sprawę przed świtem, który i tak nie nadejdzie*. Proste. Zostaję z tyłu. Papieros zwisa mi z ust, a żar jest jedyną, nędzną iskrą w tej martwej przestrzeni. Zaciągam się resztką dymu, mimo że już smakuje filtrem.

Mieszkanie jest ciche, aż za bardzo. Dźwięki z zewnątrz zatrzymują się w progu, nie mają odwagi przekroczyć tej granicy. To miejsce sprawia wrażenie odciętego od reszty świata, gdzie czas płynie wolniej albo wcale. Jest za duże jak na kogoś bez stałej pracy. Z czego ona się utrzymywała? Stare, drewniane podłogi skrzypią pod naszymi butami, przeciągając dźwięk po pomieszczeniu, wydłużając ciszę. Głębiej unosi się gorzki zapach farby olejnej.

Przeciągam dłoń po drewnianej komodzie. Kurz przykleja mi się do palców, tworząc cienką warstwę, jakby całe to miejsce było czymś oblepione.

– Spodziewałem się czegoś... sam w sumie nie wiem, bardziej przytulnego? – burczy. – Gdzie kwiaty w wazonach, pastelowe poduszki i książki o pozytywnym myśleniu?

Zamiast tego obrazy na ścianach, *brutalne*, jakby farba nie została wymieszana tylko z pigmentem, ale z czystym oblędem, co sprawia, że scena staje się szokująca. Postacie w nierealnych pozach, rozkład podany na tacy, ciała jak połamane marionetki, których sznurki ktoś poplątał w pijackim widzie. Zatrzymane w połowie gestu, w groteskowej imitacji życia. To nie są obrazy, to okna otwarte prosto na najgłębsze warstwy koszmaru. Niektóre realistyczne do bólu, inne abstrakcyjne, jakby ktoś próbował namalować dźwięk topniejącej duszy.

– Miała chore... kurwa, chore poczucie estetyki. – Dean spluwa na podłogę.

Rozglądam się po ścianach, zatrzymując się na kolejnych obrazach.

Coś w nich jest. Niepokój, który nie daje się uchwycić. Rozlewa się poza granice słów. Nie chcę patrzeć dłużej, niż muszę. Każdy szczegół wypacza prawdziwość, przesuwając proporcje, rozmywając granice, wyciekając poza swoje ramy. Każda sekunda spędzona przed nimi. To jak powolny koszmar dla moich oczu.

Pierwszy obraz: *mężczyzna w martwej agonii*. Szeroko otwarte oczy, źrenice rozszerzone do granic możliwości. Coś rozumiał, ale za późno. Usta rozwarłe w niemym *krzyku*. Dźwięk, którego nie ma, ale który rozrywa bębunki w mojej głowie. Ten obraz nie pokazuje bólu. On nim promieniuje, infekując powietrze w pokoju tak skutecznie, że każdy oddech smakuje jak *żelazo i strach*.

To nie jest ciało. To echo jego obecności, zbyt doskonale, by mogło być prawdziwe. *Zgięte, złamane, sprasowane* przez nieznaną siłę. Kości wychodzą spod skóry, próbują zostawić to, co jeszcze żyje. Ciało to nie *dom*, to pułapka z zamkiem od wewnątrz. *Żebra rozwarłe* pod złym kątem, jakby miały zaraz *oderwać się* od reszty. Czerwone plamy na płótnie to nie krew, to substancja. Zbyt nasycona. Zbyt obca. Nie chodzi o realizm. Chodzi o to, by widz musiał patrzeć. Skóra przecięta. Każde cięcie zrobione z zamiarem. Zostają nie tylko rany, ale i ślady. W tym obrazie nie ma śmierci. To próg, moment przed. Zamrożony strach. *Krzyk*, który nigdy nie odpuści.

Drugi: *kobieta*. Twarz *rozzerwana* w uśmiechu, który nigdy nie poznał *granic mięśni*. Oczy czarne, ale nie jak otchłań, tylko jak coś, co już nie potrzebuje wzroku. Z ciała sączy się płyn, lepki, zimny, jak syntetyczny śluz. Uniesiona ręka nie niesie żadnej intencji. Paznokcie wyrosły w szaleństwie, długie, zakrzywione, *nieludzkie*.

Powierzchnia obrazu jest niemal trójwymiarowa. Faktura ciała tak zawieszista, że niemal zdaje się mieć temperaturę. Wzrok zaczyna ślizgać się po szczegółach. Widoczna substancja, nie tylko *obecna*, *lecz*

wręcz ruchoma. Wślizguje się między fałdy, *oplata forme*, żyje kosztem jej wnętrza. To nie tylko perspektywa. To struktura, zapach, którego nie da się zetrzeć z myśli. Obraz wchodzi przez oczy, ale zostaje w ciele. Odbieram to całym sobą, wszystkimi zmysłami naraz.

Te obrazy nie tylko przedstawiają cierpienie. One je doświadczają, wypływają z każdej szczeliny, wstrząsając mną, na poziomie, którego nie potrafię pojąć. Nie wiem, jak długo patrzę. Sekundy? Minuty? Nie jestem pewien. Zegar w kącie pokoju spóźnia się o kilka chwil, gubi czas, nie mogąc utrzymać właściwego rytmu. Wciągam głęboko powietrze, starając się oczyścić umysł. Muszę stąd wyjść, daleko od tych piekielnych widoków.

Odwracam się. Na stoliku leżą pędzle, szkicowniki, noże malarskie. Wszystko wygląda na używane, ale nie tutaj. Bez plam farby, bez śladów pracy. Musiała mieć pracownię gdzieś indziej.

Dean otwiera szufladę komody. Dźwięk przesuwających się przedmiotów łamie ciszę. Wyciąga zeszyt, przekartkowuje go, a na jego twarzy pojawia się zniechęcenie. Krzywi się lekko.

– Nie wiem, czego szukamy, ale wolę to znaleźć, zanim natrafię na coś jeszcze bardziej pojebanego. – Widać, że coś zauważył, ale woli odwrócić od tego wzrok.

Stoję przy biurku, palce mimowolnie przesuwają się po zimnej powierzchni, czując każdą rysę, każdą nierówność. To miejsce coś krywa, ale co? Jakaś tajemnicę? Coś ukrytego w cieniu, czekającego tylko na odkrycie?

Przechodzę kilka kroków do przodu. Wszystko, co tu jest, oblepia mnie, wchłania każdy ruch, każdą myśl. Zatracam się w tej atmosferze. Miejsce ma własne życie, obarcza mnie swoim ciężarem.

– Howard. – Jego głos się zmienia. Nie jest już rozbawiony, nie lekceważy mnie. Czuć w nim coś więcej, coś, co zmienia wszystko.

Odwracam się, marszcząc brwi.

– Co znowu?

– Musisz to zobaczyć.

Stoi przy ścianie. Patrzy na obraz, który wisiał tam od początku, ale dopiero teraz go zauważyliśmy. Przez cały czas był tam, czekając, aż spojrzymy w jego stronę. Podchodząc bliżej, czuję, jak napięcie w powietrzu niemal uderza mnie po twarzy.

Zatrzymuję się.

Patrzę, ale nie wierzę własnym oczom. To ja, jednak to nie mogę być ja. Moje oblicze, moje oczy, ale jakieś inne. Patrzą na mnie, ale to nie ja patrzę. To coś, co przybrało moją formę, z jakimś nieznanym zamysłem. Czarne tło mnie wciąga, pustka nie daje mi spokoju. To jak ciemność, która nie tylko otacza, ale i przesywa, wnika. Rozmyte sylwetki postaci, które nie wydają się realne, są tylko wspomnieniem, które nigdy nie miało pełnej formy. Ten obraz to przekłete zwierciadło. Nie przedstawia mojej twarzy. On ją więzi. Patrząc na to płótno, czuję, jak mój świat puszczą na szwach, a ja staję się tylko marną kopią tego, co ona namalowała w swoim szaleństwie. To nie jest portret, to wyrok wydany na moją tożsamość.

– Co to jest? – słowa wydobywają się z moich ust z trudem...

Dean patrzy na obraz potem na mnie. Jego oczy są ciemne, zamglone. Sięga do kieszeni, szukając odpowiedzi, ale nie znajduje jej.

– To chyba, kurwa, pytanie do ciebie.

Oddycham płytko. Obraz mnie przytłacza, nie jestem w stanie oderwać wzroku. Pochłania mnie niczym czarna dziura, z której nie ma ucieczki. Mam wrażenie, że staję się częścią tego obrazu.

– Masz jakiegoś tajnego fana? – rzuca, ale w jego głosie nie ma śladu lekkości. – Może znałeś ją kiedyś? – Zbliża się, a jego głos staje się sztywny. – Dawna znajoma? Dziewczyna z baru? Ktoś, kogo kiedyś minąłeś na ulicy?

– A co to kurwa, przesłuchanie? – Ściskam zęby.

– Nie, próbuje ci pomóc.

– Dzięki za taką pomoc – mruczę, ściskając papierosa, licząc, że to zneutralizuje bałagan w mojej głowie.

Błądę w swoim własnym labiryncie pamięci, ale wszystkie alejki są ślepe. Los Angeles to miasto, które buduje się na amnezji, a ja właśnie odkryłem, że ktoś sporządził szczegółowy plan moich własnych zapomnianych grzechów i powiesił go na ścianie. Miasto, które wszystko wypłuwa i niczego nie trzyma. W głowie przesuwam wspomnienia jak karty w talii. Miejsca, twarze, spojrzenia. Czy kiedykolwiek ją spotkałem? Może spojrzalem. Może zamieniliśmy parę słów. A może nie pamiętam nic.

Pstryk. Płomień rozświetlił obraz, rzucając dziwne, zniekształcone cienie na ścianę. Mam wrażenie, że w tym świetle obraz zdaje się jeszcze bardziej niepokojący, a w jego wnętrzu ukrywają się rzeczy, które nie mają prawa istnieć. Wciągam ciepły dym.

– A Gdybyś zobaczył portret ze swoją twarzą, bez względu na to, w jaki sposób został namalowany, co byś pomyślał? – pytam, nie odrywając wzroku od płótna.

Dean wzdycha, widać, że nie chce się nad tym zastanawiać.

– Pewnie pomyślałbym, że ktoś ma naprawdę dziwaczny gust. Tylko, Howard ... dobrze wiesz, że to coś więcej. To nie wygląda na zbieg okoliczności.

Wypuszczam tłusty obłok, próbując wyprzeć tę myśl.

– A może chodzi o coś zupełnie innego? – rzuca nagle. – Może ona wcale cię nie знаła. Może ktoś jej zlecił, żeby to namalowała.

Obracam się w jego stronę, marszcząc brwi. Zimny dreszcz przeżywa mi kark.

– Za dużo tych *może*.

– Wiem, Howard, ale jedno ci powiem. Jeśli martwa dziewczyna

trzyma w mieszkaniu twój portret... to coś tu cholernie nie gra.

Słowa zaczynają rezonować w głowie, przypominając echo w pustym pomieszczeniu. Elementy zaczynają do siebie pasować, ale nie widzę wzoru. Jest jeszcze coś. Wszystkie jej prace są brutalne, chaotyczne, przesycone dziką ciemnością i bólem. Życiem, które nie potrafiło znaleźć spokoju, ale ten obraz... Jest inny. Zbyt wyważony.

Zbliżam się, przeczuwając, że odpowiedź może być tuż pod palcami, a obraz mi coś powie, jeśli tylko podejść wystarczająco blisko.

Farba na nim pachnie inaczej, to jest bardziej, jak smród, jak coś palonego, z nutą czegoś zleżalego, co wypełnia powietrze i zostaje na skórze. Wokół wszystko wydaje się pełne nieświeżości, nawet jakby ściany i podłoga zatrzymały w sobie oddech przeszłości, zapomnianą duszę tego miejsca.

Stare płótno, stare ściany, stare wspomnienia.

Sięgam ręką z obawą, że dotyk może uwolnić coś, czego nie chcę, coś, co powinno być ukryte. Każdy mój ruch jest powolny. Przecieram powierzchnię. Jestem zaskoczony jej dziwną fakturą, nie do końca rozumiejąc, dlaczego dotyk tego obrazu wydaje się tak... niepokojący.

Pod opuszkami odbieram coś, czego nie potrafię określić. Powłoka jest gładka, ale niekoniecznie równa. Wypukłe miejsca przeplatają się ze wklęsłymi, jakby coś chciało się uwolnić spod jej powierzchni. Coś, co jest wciśnięte w obraz, zakleszczone w nim jak stłumiony wrzask.

Za ścianą rozlega się kapanie wody. *Tik... tik... tik...* Dźwięk ma zbyt regularny, mechaniczny charakter. Czas zwolnił, a każdy upływający moment staje się pułapką.

– Musimy dowiedzieć się, kto jej to zlecił – szepczę, ale wiem, że to nie wystarczy.

– Albo, co gorsza... – Dean patrzy na mnie. – Dlaczego?

Sięga po telefon i dzwoni po kryminalistyków, traktując to jak zwykle zamówienie na pizzę.

– Mamy coś, co trzeba obejrzyć – zaczyna, a ja rozglądam się dalej.

Mój wzrok pada na łóżko. Na pościeli leży notatnik, zapomniany, złożony na jej wyblakłych krawędziach, które straciły kolor od ciągłego prania. Skórzana okładka jest nieco zużyta, brzegami zaczynają się strzępić delikatne ślady czasu. Napis na okładce:

SEKRETY MOJEJ GŁOWY

Otwieram go ostrożnie. Chaos. Strzępy zdań, pojedyncze słowa zapisane w pośpiechu, jakby nie miała czasu na nic więcej.

*nie otwieraj drzwi
jeśli zapuka, zobaczysz, to nie on
nigdy nie był
to niemożliwe
nie patrz w oczy
nie odpowiadaj, nawet jeśli mówi twoim głosem
to nie ty
to nie ty
spalam
myślałam, że ~~spie~~
ktoś tu był
on to on
w środku
~~nie w domu~~
we mnie
zabrał coś
nie jestem już
nie jestem
nie jestem już*

*chciałam ci powiedzieć
 tylko nie słuchasz
 nikt nie słucha
 zaczęło się od głosu i dźwięku
 takiego... cienkiego
 jak szept, oddech przez szparę
 potem przyszedł sen
 nie był mój
 nie był mój
 teraz
 nie wiem
 czy jestem jeszcze obudzona?
 czy to ty?
~~czy ja~~
 czy on?
 czy...*

Czytam te słowa i mam wrażenie, że to nie jest zapis choroby to raport z pola bitwy, którą ta kobieta przegrała we własnym łóżku.

Ten intruz nie pukał. Nie fatygował się nawet, by użyć klamki. Wyrwał drzwi, wyrzucił stare meble jej tożsamości przez okno i teraz rozsiada się w tej pustej czaszce z brudnymi nogami na stole.

Część z nich jest tak mocno skreślona, że ledwo da się je odczytać, jakby próbowała je zabić. Wydaje mi się, że to, co znajdę dalej, nie będzie łatwe do zrozumienia.

Kolejne strony:

*Projekt dla H.
 Spotkanie w L.A.
 Światło pada pod złym kątem. Muszę poprawić*

Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale wiem, że w tej dezorganizacji jest coś, czego nie potrafię uchwycić.

Przewracam kartkę.

Nie wiem, czy to dobrze, ale obiecałam, że to zrobię

Muszę to zrobić

Cie Ń nie pas uje do te go obra zu

Ost atn i obr az. Po te m w yja de

Słowa się łamią. Desperacja, napięcie. Ona chciała wyrwać z siebie coś, co wrastało w niej zbyt długo. Zatrzymuję się na jednym wyrazie, który wygląda, jakby sam siebie wypalił w tych kartkach:

LUX AETERNA SILENTIUM

Trzy słowa, zapisane gwałtownym ruchem. Krzyk wciśnięty w papier. A jednak zapisała to milczeniem. Czerwony, podkreślony tekst nie daje mi spokoju. Mrużę oczy. Znam to, ale nie mogę sobie przypomnieć skąd. Może to było kiedyś w książce? Może to z filmu, może... gdzieś to widziałem, słyszałem. Gdzieś w przeszłości?

Na marginesie, mały szkic. To biała maska. Wyrysowana ostrymi, zdecydowanymi liniami. Wydaje się czymś więcej niż tylko elementem rysunku. Jest w niej coś dziwnego. Skrywa niewypowiedzianą groźbę. Maska... **Lux Aeterna Silentium** ... Może to klub? Stowarzyszenie? A może coś znacznie gorszego. Albo tylko osobista obsesja ofiary?

Cofam o kilka kartek: spotkanie w L.A. Teraz pytanie. Czy chodzi tu o Los Angeles, czy o **Lux Aeterna**?

W tym momencie zbliża się Dean.

– Masz coś? – Zagląda mi przez ramię.

– Może. *Lux Aeterna Silentium*... coś ci mówi? – pytam, choć sam wiem, że to nie jest proste pytanie.

– Yyyyy... brzmi jak klub dla snobów.

Przewracam kolejne strony. Luźne szkice, rysunki sylwetek, które nie pasują do siebie. Twarze. Znam je, ale nie potrafię ich umiejscowić. Każda wydaje się znajoma jak odbicie w lustrze z przeszłości, ale z której nie jestem w stanie wyciągnąć żadnej historii.

Ostatnia kartka:

Harold Wage Phelptoon

Wanda H. O.

– A to? – Dean wskazuje na te imiona palcem.

– Też chciałbym wiedzieć.

Wpatruję się w litery. Układają się w coś, co powinno mieć sens, ale nie dla moich oczu. Jeśli miała mój portret na ścianie, to możliwe, że te osoby mają z tym coś wspólnego. A może to oni są odpowiedzialni za to wszystko.

Zamykam notatnik, wsuwam go do kieszeni płaszcza. Techników nadal nie ma, ale pewnie zaraz się zjawią.

Dean przeciąga się, zerka na zegarek.

– Dobra i tak tu już nic nie zdziałamy. Żarcie?

Kiwam głową.

– Brzmi dobrze.

Uśmiecha się krzywo.

– W końcu jakaś sensowna decyzja.

W progu zatrzymuję się na chwilę, odwracając się w stronę obrazu. Patrę jeszcze raz na moją twarz. Po chwili zawahania się wiem, że muszę wyjść, nim ta myśl zdominuje wszystko, co mogłoby mnie tu trzymać dalej.

Trzydzieści minut później.
Szyld nad wejściem:

Minus Motivates Diner Since 1958

Drzwi zatrząskują się za nami, a ciche brzęczenie dzwonka odbija się w powietrzu, wchłaniając zapachy bekonu, starego oleju i tłuszczu na zaparowanych szybach. Bładowe światło lamp rzuca niedosmażone cienie. Odbija się od stolików i sztućców, zmęczonych latami nadużywania. Wszędzie obecni są ci sami zżarci ludzie. Starsi ludzie, którzy czują, że ich życie przeszło obok. W kącie kilku facetów w garniturach. Twarze jak po karambolu, które nie potrafią już udawać. Widać w nich żal. Za wszystkim, co miało znaczenie. Pomimo tego wszystkiego, muszą teraz tu być. Tak jak ja.

– Idealnie. – Dean zdejmuje płaszcz. – Miejsce, gdzie kawa smakuje jak zmielone sumienie mojej byłej żony.

– Przecież ty nie byłeś żonaty.

– Widzisz? Nie mam żony, a i tak zrobiła mi burdel w głowie.

Siadam naprzeciwko, wciąż czując na skórze chłód tamtego dusznego mieszkania. Wchodzę tu bez złudzeń, bez nadziei na poprawę. Zresztą, co ja wiem o nadziei.

– Burdel to ty już miałeś wcześniej – mówię cicho.

Dean wpatruje się w blat, jakby coś liczył. Dopiero po chwili podnosi wzrok.

– Co?

– Pytałem, czemu tu przychodzimy?

Dean milczy chwilę. Jego szczeka napina się, jakby już miał coś odbić, ale myśl gaśnie, zanim zdąży wyjść z ust. Po chwili jednak mówi:

– Bo lubimy cierpieć.

Kelnerka podchodzi, wchodząc w scenę, którą odgrywa tu już od lat. Starsza kobiecina, z jakąś stałą rutyną na twarzy, której nic nie jest w stanie już zdziwić.

– To, co zwykle, panowie? – Zna nas na wylot, po prostu wie.

Dean zamawia pierwszy.

– Bekon, jajecznicza, tosty. Mała czarna, tak jak sumienie mojego kolegi – mówi to z lekkim uśmiechem.

– Będę udawał, że mnie to nie dotknęło. To samo.

To wszystko wydaje się normalne, ale my siedzimy tu, jakbyśmy dopiero co przekroczyli kolejny krąg piekła, tylko bez **Danteo Alighieri** za towarzysza. On miał przynajmniej **Wergiliusza**, który tłumaczył mu sens każdego cierpienia. My mamy tylko kelnerkę, pytającą o zamówienie. Nasze potępienie jest głuche i pozbawione poezji. Nie ma tu płomieni ani lodowych jezior, jest tylko ten mdły zapach mielonych ziaren i świadomość, że nikt nie spisze naszych losów w cholerych tercynach. Jesteśmy w kręgu, którego nie ma na żadnej mapie, tym bardziej w Los Angeles. W kręgu ludzi, którzy przeżyli koniec świata, ale muszą dokończyć śniadanie.

– Miałeś romans z martwą malarką? – rzuca nagle.

Podnoszę wzrok, zaskoczony tym pytaniem.

– Nawet jej nie znałem. Oszczędź sobie tych nędznych scenariuszy.

– Wiesz, może ona była jak te kobiety, które piszą listy do seryjnych morderców.

– Serio... wyglądam na mordercę? – Wzrasta irytacja, której nie da się zignorować.

– Wiesz, Howard ... coś jest w tych twoich oczach. Patrzysz na mnie jak jakiś czarny charakter z filmu noir. Tylko że bez tych błyskotliwych tekstów i z jeszcze większym balaganem w głowie niż ten, co zastaliśmy u malarki. Ci faceci przynajmniej trzymali jakiś fason do

napisów końcowych.

– Dzięki za trafną diagnozę, doktorze **Jekyll**. Wiesz, co jeszcze siedzi w mojej głowie? Ten cholerny obraz.

– **Życie to sen** – mówi. W jego oczach teraz błyszczy **Hyde**.

Marszczę brwi.

– Co ty właśnie powiedziałaś?

– Nieważne. To nie miało sensu nawet w moich myślach. Zapomnij – macha ręką, jakby odganiał muchę od padliny.

Przewracam oczami.

– No to świetnie. Będziemy teraz gadać zagadkami?

Odkłada sztucce.

– Dobra. Załóżmy, że to nie przypadek. Ktoś dał jej ten tarot. Kazał namalować twój portret. Kazał jej... – Dean przerywa swoją myśl w połowie zdania.

– Umrzeć? – To słowo pada między nami jak kula, która odbija się od ścian, ale nie trafia do celu.

– Może. Albo po prostu trafiła na wiedzę, która miała zbyt wysoką cenę, żeby pozwolili jej z nią biegać po mieście – mówi to z taką lekkością, jakby wystawiał fakturę za czyjś zgon.

Wyciąga rękę po filiżankę, a ja widzę w tym geście całą biurokratyczną obojętność tego świata. Najpierw kogoś zabijają, a potem spokojnie dopijasz espresso, bo przecież praca sama się nie skończy. Czasem myślę, że śmierć jest dla niego tylko przecinkiem w zdaniu, które i tak nie ma sensu.

Zapach przysmażonego jedzenia wisi w knajpie, ale nagle wszystko staje się mdle. Całe to miejsce, cały akt, staje się tylko tłem, bez scenariusza i z nagrobkami aktorów.

Dean poważnieje na moment.

– Coraz mniej mi się to podoba.

– Mnie też. – Uśmiecham się krzywo.

Rzucam kilka banknotów na blat. Za kawę, za święty spokój oraz za **Beatrycze**, której tu nikt nie poprowadzi przez żaden krąg.

– Wracamy? – Dean rzuca pytanie.

Kiwam głową.

Jest coś uspokajającego w powrocie. Szum rozmów, ciche głosy, szelest papierów. Buduję wokół siebie mur z akt. Każda teczka, każdy raport to cegła w fortecy, która ma mnie odgradzić od fałszu tego świata. Ten proceduralny porządek to jedyna siła, która sprawia, że świat wydaje się, choć odrobinę bardziej prawdziwy, nawet jeśli to tylko kłamstwo zapisane na papierze.